

Meredith Webber
Odważna lekarka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nash z poczuciem winy wjeżdżał do Edenvale. Kiedy to ostatnio był w domu? Cztery, pięć miesięcy temu? Tyle czasu nie widział się z matką.

Nie, nie robiła mu z tego powodu wyrzutów. Wystarczało jej, że dzwonił raz w tygodniu.

Ona jednak z reguły na nic się nie skarżyła. Ani na samotność, która z pewnością jej doskwierała od czasu śmierci ojca. Ani na ból po stracie drugiego syna, Russella. Ani na artretyzm, który szpetnie powykręcał jej palce pianistki. Nawet na brak wnuków, o posiadaniu których, Nash w to nie wątpił, od dawna marzyła...

– Już słyszę, jak mówisz, że to bardzo ładne miasteczko.

Komentarz Karen nie był dla Edenvale komplemencem – już bardziej zarzutem. Jej zdaniem malowniczość była jedyną zaletą Edenvale.

– Chyba nie zaprzeczysz – powiedział cicho Nash, wspominając beztroskie dzieciństwo spędzone w tym nadmorskim małym rajku na ziemi.

Wspominając przyjaciół i przygody, uświadomił sobie po raz kolejny głęboką, nieprzemijającą miłość do tej miejscowości, która, jak od początku podejrzewał, nakaże mu tam kiedyś wrócić i przejąć praktykę po ojcu, którą ten z kolei odziedziczył kiedyś po dziadku.

– I rozrasta się – podjęła Karen. – Dzwoniłam wczoraj do agencji obrotu nieruchomości. Powiedziano mi, że cena posesji położonych na wybrzeżu poszybowała ostro w górę, a za jakieś dwa lata, kiedy bogatsi inwestorzy zwietrzą dobry interes, wzrośnie jeszcze bardziej. Mam nadzieję, że wyperswadujesz swojej matce sprzedaż.

– I ja mam taką nadzieję!

Wzdrygnął się na myśl o tym, że mogłoby do tego dojść. Matka już jakiś czas temu wspominała mu przez telefon, że nosi się z myślą o sprzedaży praktyki, do niego jednak dopiero teraz dotarło, co by to znaczyło. Aż do tej pory sam nie mógł się zdecydować, czy mu na tej praktyce zależy. A przecież to umiejętność podejmowania szybkich i trafnych decyzji czyniła go dobrym lekarzem ratownictwa medycznego.

Skręcił w promenadę i opuścił nieco szybę, by odetchnąć przesyconym morską solą powietrzem. Jechał teraz powoli, a plusk niewielkich fal i skrząca się w słońcu błękitno-zielona woda napełniały go poczuciem, że jest w domu.

Czyżby naprawdę chodził mu po głowie powrót do Edenvale na stałe?

Karen rozprawiała wciąż o rosnących cenach nieruchomości. Zerknął na nią spod oka. Straciłby ją, decydując się na to...

Czy aż tak bardzo odczułby tę stratę...?

– Marzę o kilku przespanych w całości nocach – mruknął. Nie do wiary, w jakim kierunku zbaczają jego myśli. Jest z Karen od czterech lat, ona spodziewa się pierścionka zaręczynowego pod choinkę. Wie-

dział o tym, bo rozsiewała mu po mieszkaniu kobiece czasopisma otwarte na stronach z reklamami drogich brylantów.

Co do Karen też nie jest zdecydowany...

– No to w ten weekend raczej sobie nie pośpisz – powiedziała rozkosznie. – Dzisiaj wieczorem jesteśmy zaproszeni do Beaviesów, a jutro na wernisaż Charliego. To naprawdę nie jest najlepszy czas na odwiedzanie twojej matki.

Nash z pokorą przyjął tę wymówkę. Karen była dla niego bardzo wyrozumiała, kiedy przez kilka ostatnich miesięcy wszystkie weekendy spędzał w pracy, i bardzo niechętna wyprawie do Edenvale w pierwszy weekend czterotygodniowego urlopu, który wreszcie wziął.

Inna sprawa, że wcale nie musiała z nim jechać. Nie ciągnął jej ze sobą.

I teraz na drodze, która okrążając przylądek, prowadziła do domu, w którym się wychował, jej obecność zaczęła mu przeszkadzać. W tej chwili wolałby w samotności, bez poczucia winy i zakłopotania oddać się wspomnieniom i przeżywać swój powrót w rodzinne strony.

Skręcił w podjazd i ujrzał przed sobą dom – szerokie schodki prowadzące na jeszcze szerszą werandę, w głębi drzwi frontowe, a przed nimi pies...

Pies? Matka sprawiła sobie psa?

I to nie byle jakiego. Był wysoki, wysmukły, pełen gracji. Chart!

– Widzę, że Sara ma gości – zauważyła Karen.
– Tylko dlaczego odwiedzili ją z psem? Chyba

wiedzą, że przez ten artretyzm ma trudności z poruszaniem się. Takie wielkie psisko mogłoby ją przewrócić.

Nash zatrzymał auto przed schodkami. Pies nie zachowywał się jak gość, sprawiał wrażenie zadomowionego. Tak samo dziewczynka, która wynurzyła się teraz z cienia zalegającego w głębi werandy. Była jak z obrazka: złotobrązowe pukle przewiązane czerwoną wstążką, pucołowate rumiane policzki, usteczka jak pączek róży i czyste, szeroko otwarte oczy, patrzące na nich pytająco.

Jakby ją już kiedyś widział...

– Popatrz, goście – rzuciła Karen, wysiadając z samochodu.

Dziewczynka zbliżyła się do psa i wspinając się na palce, objęła go za szyję.

– Sara bierze prysznic i kazała wam powiedzieć, żebyście weszli od tyłu.

Wyrzuciła z siebie ten tekst jednym tchem, tak jakby powtarzała go sobie od jakiegoś czasu w myślach, żeby nie zapomnieć.

– Dzięki za informację – odrzekł Nash, podchodząc bliżej, by przyjrzeć się orzechowym oczom dziecka. – Jesteś z wizytą u Sary?

Mała patrzyła na niego przez chwilę taksująco, oceniając, czy zasługuje na odpowiedź.

– Szłam właśnie wykąpać Donnę.

Te czyste orzechowe oczy i sposób, w jaki dziewczynka przekrzywiała główkę, kogoś mu przypominały... Tylko kogo? Bo był pewien, że małą widzi po raz pierwszy.

– To ona wabi się Donna?

Wyczuwał rosnące zniecierpliwienie stojącej obok Karen, ale był pod urokiem tego ślicznego dziecka.

Dziewczynka kiwnęła główką.

– A ja jestem Brianna – oznajmiła, wyciągając wolną rączkę.

Nash uściskał ją z powagą.

– Mam na imię Nash – przedstawił się. – Jestem synem Sary, a to Karen.

– Twoja narzeczona?

– Wejdźmy do środka – mruknęła Karen, zanim Nash zdążył sobie uzmysłwić, dlaczego zwleka z odpowiedzią na to pytanie.

Nie, oczywiście, że narzeczona!

– Ach, jesteście. Przepraszam. Powinna być tu na was czekać, ale Donnie zebrało się na dokazywanie i musiałam się po tych harcach opłukać pod prysznicem. Brianna chyba wyjaśniła?

Wychodząca zza domu matka wyglądała tak kwitnąco i poruszała się tak swobodnie, że Nash na moment oniemiał z wrażenia. Wziął ją w ramiona i uściskał.

– Coś podobnego! – powiedział, odsuwając ją od siebie na długość wyciągniętych rąk. – To ty?!

Obejrzał dłonie matki.

– Nie zaczerwienione, znikła opuchlizna! Znalazłaś jakiś czarodziejski eliksir na ten swój artretyzm? Zdradź mi tajemnicę, a oboje staniemy się bogaci.

Sara cicho się zaśmiała.

– Żaden czarodziejski eliksir, tylko nowa lekarka na tyle zawzięta, że nie dała za wygraną.

Wyzwoliła z jego uścisku jedną rękę i wyciągnęła ją na powitanie.

– Karen, jak dobrze cię widzieć. Chodźcie za dom.

– Za dom? Robisz coś w ogrodzie? – spytała Karen, ruszając za Sarą, dziewczynką i psem żwirową ścieżką, w której grzęzły jej wysokie szpilki.

Nash szedł na końcu dziwnie rozkojarzony. Faktem, że dziewczynka kogoś mu przypomina? Czy może tym zaproszeniem na tyły domu?

– O, przepraszam. – Matka zatrzymała się przy nowym zielonym plastikowym zbiorniku na wodę obok schodków do kuchni. – Zapomniałam powiedzieć, że się przeprowadziłam.

– Przeprowadziłaś się? – spytała ze zdziwieniem Karen. – Dokąd? Chyba nie do tego gościnnego bungalowu?

Sara roześmiała się.

– Powiedziałaś to takim przerażonym tonem, jakbym przeniosła się do rudery w slumsach. A to śliczny domek i o wiele nowocześniejszy od tego starego. I sosny w ogrodzie wyrosły już tak wysoko, że piękny jest teraz stamtąd widok na morze. W starym domu nie mogłam sobie znaleźć miejsca, czułam się samotna i opuszczona. Ten mały tak mnie nie przytłacza, jest w sam raz dla mnie.

Zawiesiła głos i położyła dłoń na łbie psa.

– Dla mnie i dla Donny.

Nash pokręcił głową, nie zdążył jednak zapytać, czemu wcześniej mu o tym nie powiedziała, bo zza kamiennego murka otaczającego ogród dobiegł ich dźwięczny śmiech, a po chwili przeskoczyły go z gracją jeszcze trzy wysmukłe psy, a za nimi kobieta tak podobna do Brianny, że odebrało mu głos. Miała

długie nogi, była w dżinsowych szortach spłowiałych do barwy nieba w letnie upały, mokry T-shirt lgnął powabnie do jędrnych piersi. Włosy były tego samego koloru, ale przewiązane nie czerwoną wstążką, lecz czerwoną tasiemką.

– Ojej!

Zaskoczona i zmieszana widokiem gości kobieta zaczerwieniła się.

Nie, to nie może być Ella, pomyślał Nash. W ogrodzie matki? Z psami?

Psy! Meg była weterynarzem, więc może to Meg?!

Ale serce podpowiadało mu, że ma przed sobą Ellę.

– Meg? – spytał mimo wszystko niepewnie.

Śliczna twarz kobiety ściągnęła się i w tym samym momencie ugryzł się w język. Przecież Meg nie żyje. Matka mówiła mu, że zamordował ją jakiś narkoman w lecznicy dla zwierząt, w której pracowała.

Ella, jej siostra bliźniaczka, była lekarzem...

– Jestem Ella Marsden – zwróciła się Ella do Karen, uznając widocznie, że jemu przedstawiać się nie musi. – Ręki nie podaję, bo jest brudna.

Pstryknęła palcami i pies imieniem Donna podbiegł do niej posłusznie.

– Wybaczcie. Przed rozpoczęciem dyżuru muszę jeszcze wykąpać Donnę. Myślałam, że uwinę się z tym przed waszym przyjazdem. Nie spodziewałam się, że miejscy lekarze tak wcześnie wstają. Chodź, Brianna. Nie przeszkadzajmy Sarze.

Kiwnęła Nashowi głową i oddaliła się. Nash spojrzął pytająco na matkę.

– To była Ella Marsden! – wykrztusił, z trudem hamując wściekłość.

– Znasz ją? – spytała Karen.

– Nie wtrącaj się, Karen – warknął Nash, gromiąc ją wzrokiem, i zwrócił się znowu do matki: – Tylko mi nie mów, że zamierzasz sprzedać praktykę Elli Marsden! Że to z jej powodu przeniosłaś się z domu do bungalowu! Odbiło ci?

– Nash, jak ty się odzywasz do matki! – zachnęła się Karen.

Ale Sara przyjęła wybuch syna ze spokojem.

– Wejdzmy do bungalowu i porozmawiajmy jak dorośli, Nash. Bez histeryzowania.

– Histeryzowania? Histeryzowania?! – zaperzył się Nash. – Chcesz sprzedać praktykę ojca Marsdenom po tym, co zrobili naszej rodzinie, a mnie krew nie ma prawa zalać?

Nie trzeba się było wyrywać z tymi miejskimi lekarzami, zganiła się w duchu Ella, prowadząc psa do wanny na tyłach ogrodu. Serce waliło jej jak młotem, ścisnęło ją w dołku, a kolana miała jak z waty – aż dziw, że nogi jeszcze ją niosły.

Potraktowała Nasha jak powietrze i on pewnie odebrał to jako osobistą obelgę. No bo jak miał odebrać?

A ona przecież nie chciała go urazić. Choćby przez wzgląd na Sarę. Po prostu jego imię nie chciało jej przejść przez gardło.

Wiedziała, że dojdzie w końcu do spotkania z Nashem i ta świadomość od dawna spędzała jej sen

z powiek. Powrót do Edenvale był z wielu powodów trudny, ale przez tych pięć miesięcy, jakie już tu mieszkała, zdołała przełamać nieufność miejscowych i stopniowo zdobyć szacunek, jeśli nie sympatię, większości z nich. I zaczynała już wierzyć, że wszystko się jakoś ułoży.

Aż tu nagle zjawia się Nash – wysoki, barczysty i nieprzyzwoicie przystojny – i język staje jej kołkiem, a nogi miękną jak piętnastolatce.

To pewnie spóźniony kac moralny z przeszłości.

Bo niemożliwe, by nadal czuła coś do Nasha McLarena, tego szczura, doktorka od siedmiu boleści, który od pięciu miesięcy nie zajrzał nawet do cierpiącej na artretyzm matki.

Widok Nasha, dorosłego już i nadal przystojnego jak dawniej, przypomniał jej tamten straszny dzień, kiedy jako piętnastolatka szlochała w objęciach Meg nie dlatego, że zmarł ojciec, ale dlatego, że osiemnastoletni wówczas Nash McLaren rzucił ją dla Lisy Warren, farbowanej blond puszczańskiej, przechwalającej się, że całowała się już ze wszystkimi chłopcami z okolicy.

– Idziemy wykąpać Donnę? – spytała Brianna.

Ella spojrzała na córeczkę Meg z uśmiechem.

– Wiesz co? Chyba przełożymy to na jutro – powiedziała, obejmując siostrzenicę. – A teraz same weźmy lepiej prysznic. Potem ja pójdę do pracy, a ty pomożesz pani Carter smażyć placuszki na poranną herbatkę Sary.

– A mogę pójść do Sary na tę poranną herbatkę?

– Nie wiem, skrzaciku. Może Sara chce spędzić

ten poranek ze swoim synem. Ale jeśli cię zaprosi, to nie widzę przeszkód.

– Stary Zrzęda tu jest! – poinformowała Ellę teatralnym szeptem Kate, weekendowa rejestratorka.

Stary Zrzęda, były burmistrz miasteczka, należał do najmniej sympatycznych z pacjentów Elli. Jednak Ella wiele mu wybaczała, bo całym jego ciałem wstrząsały teraz drgawki choroby Parkinsona i miał trudności z wystawianiem się, choć jego umysł nadal pracował sprawnie.

– Zapraszam, panie Warburton – powiedziała Ella do siedzącego w poczekalni pacjenta, otwierając drzwi gabinetu. Nie oferowała mu pomocy, bo wiedziała, że i tak zostałaby odrzucona.

– Nie rozumiem, dlaczego gabinet lekarski jest tak daleko od recepcji – wyburczał pan Warburton, podnosząc się z trudem z krzeselka.

– Bo wcześniej są gabinety zabiegowe – wyjaśniła, choć on to przecież wiedział. – Jeśli kupię tę przychodnię, to może przeniosę go bliżej.

– Doug McLaren wiedział, co robi, i ja nie śpieszyłbym się zbytnio ze zmianami, młoda damo.

Ella stłumiła westchnienie. Zawsze tak było – cokolwiek powiedziała, pan Warburton miał odmienne zdanie.

– A więc w czym mogę panu dzisiaj pomóc? – zapytała, kiedy usiadł w końcu przed jej biurkiem.

– Mówiła pani w środę o jakimś nowym leku – burknął.

– Nie tyle o nowym leku, co o wprowadzeniu

środku przeciwdepresyjnego do pańskiej kuracji – skorygowała Ella.

– Chciałbym jeszcze raz usłyszeć o tych substancjach, których nie produkuje teraz mój organizm. Żadnej depresji nie mam, ale powiedziała pani, że z tego powodu może czegoś mi tam do szczęścia brakować.

Ella nie uśmiechnęła się. Wiedziała, do czego zmierza pan Warburton. W jego mniemaniu depresja była babską fanaberią niegodną prawdziwego mężczyzny. Co innego jakieś tam chemiczne niedobory.

– Choroba Parkinsona atakuje obszary mózgu, które zawiadują wytwarzaniem przez organizm takich substancji jak serotonina i neotropina, czyli dwóch związków chemicznych zapewniających nam dobre samopoczucie.

Pan Warburton kiwnął głową.

– Znaczy, że tylko głupi nie wzięłyby czegoś, co zastępuje to, czego nie produkuje organizm.

– Czytałam, że w Stanach Zjednoczonych i Europie prowadzone są badania nad zastąpieniem tabletek plastrami, dzięki czemu lek byłby wchłaniany przez skórę – powiedziała Ella, sięgając po bloczek z receptami.

Pan Warburton kiwnął głową, a potem zaskoczył ją zupełnie, mówiąc:

- Słyszałem, że Nash ma dzisiaj odwiedzić Sarę.
- Przyglądał się przez chwilę Elli, a potem dodał:
- Wraca chłopak w końcu na stare śmieci?
- Skąd mam wiedzieć? – bąknęła Ella.

Starsi mieszkańcy miasteczka woleliby bez wątpienia, by leczył ich Nash, syn i wnuk poprzednich

lekarzy. A nie córka miejscowego pijaczka i kombinatora.

Odprowadziła pana Warburtona do drzwi i uśmiechnęła się do następnej pacjentki. Czteroletnia Carrie Mills cierpiała na porażenie mózgowe. Jej matka, Jenny Mills, spojrzała na Ellę błagalnie.

– Ma wysypkę – szepnęła.

Ella obejrzała małą. Ta wysypka mogła świadczyć o zapaleniu opon mózgowych. Im szybciej Carrie znajdzie się w szpitalu, tym lepiej.

Niestety, szpital w Edenvale zamknięto przed dziesięcioma laty. Nigdy jeszcze nie widziała wysypki towarzyszącej zapaleniu opon mózgowych, ale w szpitalu mogłaby pobrać do analizy płyn rdzeniowo-mózgowy Carrie i w razie czego natychmiast rozpocząć kurację, bez narażania dziewczynki i jej rodziców na dramat dwugodzinnej podróży do miasta, zwłaszcza że nie miała pewności, czy jej diagnoza jest słuszna.

Zaraz, przecież Nash pracuje na oddziale ratunkowym. Nash będzie wiedział!

Oddała Carrie matce i sięgnęła po słuchawkę.

– Nash McLaren, słucham?

– Nash, to ja, Ella. Przepraszam, że przeszkadzam, ale potrzebuję twojej rady. Wiem od Sary, że pracujesz na oddziale ratunkowym. Spotkałeś się już może z wysypką towarzyszącą zapaleniu opon mózgowych we wczesnym stadium? Mam tutaj czteroletnią pacjentkę z porażeniem mózgowym i jeśli to zapalenie opon, to wołałabym jej od razu podać penicylinę G, zamiast czekać z tym, aż znajdzie się w szpitalu.

– Zaraz tam będę – mruknął Nash.

– Nash McLaren? – spytała Jenny. – Coś takiego, odwiedził wreszcie matkę.

Po paru minutach Nash był w gabinecie.

– Cześć, Nash – przywitała go Jenny. – Poznajesz mnie? Jestem Jenny Mills... To znaczy, Jenny Roberts.

– Jenny Roberts? – Nash uśmiechnął się. – A teraz Mills. A więc wyszłaś za Josha! Moje gratulacje.

Ukląkł obok Jenny i spojrzał na Carrie.

– A kim jest ta piękna młoda dama?

– To Carrie – odrzekła Jenny.

Nash obejrzał dokładnie dziewczynkę.

– Chyba macz rację – powiedział do Elli, wstając. – Trzeba ją natychmiast przewieźć karetką do Sydney i przez całą drogę monitorować. Jenny, czy Josh jest w domu? Mógłby spakować trochę rzeczy dla ciebie i Carrie i podrzucić je tutaj? Możesz zabrać się z nią karetką. Masz więcej dzieci?

– Pete’a możesz zostawić u mnie – zaproponowała Ella. – Zaopiekuję się nim. Każę zaraz Kate zadzwonić po karetkę, a potem do Josha.

Ella wybiegła z gabinetu.

Josh zjawił się, kiedy Carrie ładowano do karetki. Niósł torbę i prowadził za rączkę pięcioletniego Pete’a. Spojrzał z bólem w oczach na córeczkę, potem pocałował Jenny, zapewniając ją, że będzie jechał ostrożnie za karetką i że spotkają się w szpitalu. Na koniec uściskał Pete’a.

– Bądź grzeczny i nie spraw kłopotu Elli, Sarze

i pani Carter – powiedział, a jasnooki chłopczyk kiwnął głową.

– Gdyby on jeszcze wiedział, co to znaczy być „grzecznym” – szepnęła do Elli Kate.

Karetka odjechała. Josh, przekazawszy synka Nashowi, wsiadł do samochodu i ruszył za nią.

– Z tego, co powiedział Josh, zrozumiałem – zwrócił się Nash do Elli – że nie po raz pierwszy zabierasz do siebie Pete’a.

– Carrie często przebywa w szpitalu, a dziadkowie z obu stron, od kiedy przeszli na emeryturę, dużo podróżują. – Spojrzała na Pete’a, który oddalił się od Nasha i dźgał teraz patykiem pajęczynę. – Chodź do środka, Pete – powiedziała. – Kate znajdzie ci coś do zabawy, a kiedy skończę dyżur, pojedziemy do domu i pobawisz się z Brianną i pieskami.

– Wracam teraz do domu. Mogę go zabrać – zaoferował się Nash.

– Nie, niech lepiej zostanie tutaj – rzekła Ella, biorąc chłopczyka za rączkę. – Pani Carter przygotowuje śniadanie i nie poradziłaby sobie z dwojgiem dzieci.

Pete wyrwał jej się i wbiegł do recepcji. Ella kiwnęła Nashowi głową i weszła tam za nim.

Pete Mills pozostawiony bez opieki potrafił w dwie minuty zdemolować dowolne pomieszczenie. Podobnie jak niegdyś bliźniaczki Marsden, pięcioletni Pete Mills miał już opinię urwisa nad urwisy!

ROZDZIAŁ DRUGI

Co to? On według niej dzieckiem nie potrafi się już zająć?!

Rozzłoszczony tym domniemanym afrontem, Nash wmaszerował za Ellą do poczekalni. Odrywała właśnie chłopczyka od dystrybutora wody.

– Sama ci naleję, Pete – mówiła z naciskiem, przytrzymując go jedną ręką, a drugą wyłuskując z piastki pięć papierowych kubków, które zdążył zakosić z podajnika.

– Ma zespół nadpobudliwości ruchowej? – spytał Nash, wchodząc za nią i malcem za kontuar rejestracji.

– Moim zdaniem to bardziej chęć zwrócenia na siebie uwagi – odparła Ella, sadzając Pete’a przy małym stoliczku w kącie pomieszczenia.

Nie był to zapewne pierwszy taki raz, bo rejestratorka bez słowa wygrzebała z szafki plastikowe pudełko z drewnianymi puzzlami i postawiła je przed chłopcem.

– Nie podasz mu profilaktycznie ryfampicyny?

W odpowiedzi Ella, która pomagała już Pete’owi układać puzzle, wyprostowała się i spoglądając Nashowi w oczy, uniosła wysoko brwi.

Był to bardzo wymowny grymas, dawał do zro-

zumienia, że to nie jego sprawa i ona najlepiej wie, co ma robić.

Tak się też nieszczęśliwie składało, że to uniesienie brwi przypomniało mu pewien upalny dzień tuż przed wyjazdem z Edenvale na uniwersytet, dzień, w którym natknął się na nią niespodziewanie przy jaskiniach. Zobaczyła go wtedy z daleka i zawróciła na pięcie, zatrzymała się jednak, kiedy zawołał, żeby zaczekała. Podszedł i... zapomniał, co chciał powiedzieć. Żeby ratować sytuację, pocałował ją. I całował, dopóki obojgu nie zabrakło tchu.

Wtedy oderwała się od niego i właśnie w ten sposób uniosła brwi.

– Lisę Warren też tak całujesz? – spytała, a potem odwróciła się i nie czekając na odpowiedź, odeszła.

Nash odpędził od siebie te wspomnienia. Ella poszła tymczasem do swojego gabinetu, usiadł więc naprzeciwko bawiącego się puzzlami Pete'a.

Rozdzwonił się telefon. Kate podniosła słuchawkę.

– Tak, jest tutaj, Saro. Nie, już po wszystkim, ale bawi się teraz z Pete'em Millsem.

Skończyli właśnie z Pete'em układać skomplikowany obrazek przedstawiający podwórko przed oborą, Pete wyliczał teraz kolejno widniejące na nim zwierzęta, i nagle do świadomości Nasha przebiły się słowa Kate.

Cholera! Przyjechał przecież do Edenvale odwiedzić matkę – a co robi, bawi się z obcym dzieciakiem?

– Sara mówi, żebyś wziął Pete'a i wracał do domu. Ona przygotowuje lunch w ogrodzie, a on uwielbia się tam bawić.

– Lunch?

Kate obdarzyła go promiennym uśmiechem.

– Już po dwunastej. Widzę, że układanie tych puzzli pochłonęło cię tak samo jak Pete’a.

Nash obrzucił ją nieprzyjaznym spojrzeniem, a potem zerknął na poczekalnię. Pacjentów zamiast ubywać, przybyło.

– O której zamykacie?

Kate znowu się promiennie uśmiechnęła.

– Powinniśmy o jedenastej, tak jest napisane na drzwiach. Ale dzisiaj zejdzie co najmniej do drugiej. Jeśli wziąć pod uwagę, że Ella w soboty przyjmuje tylko nagłe przypadki, to od razu widać, że potrzeba nam na gwałt drugiego lekarza.

Nash przypomniał sobie, jak matka, kiedy już się trochę uspokoił, powiedziała mu, że Ella nie dość, że chce kupić praktykę, to jeszcze zamierza wziąć sobie współnika. Czy aby nie ojca swojego dziecka?

Zresztą, co mu za różnica.

– Chodź, Pete, pójdziemy do... do...

– Do Sary. Wszystkie dzieci tak ją nazywają.

Nash obejrzał się. Po drugiej stronie kontuaru recepcji stała Ella.

– Do Sary, do Sary! – ucieszył się Pete i chwyciwszy Nasha za rękę, pociągnął go do drzwi.

Ella odetchnęła z ulgą, kiedy ci dwaj zeszli jej z oczu, i poprosiła następnego pacjenta. Jeszcze pięciu – naturalnie, jeśli nikt już się nie pojawi. Do drugiej, najpóźniej do trzeciej powinna skończyć.

Ale wystarczył jeden rzut oka na buzię Jessie

Cochrane, żeby pozbyć się złudzeń. Dziewczynka miała taką samą wysypkę jak Carrie. A w przedszkolu była w tej samej co Carrie grupie. W tej samej grupie co Brianna...

Zbadała małą, wyjaśniając Libby, jej matce, co jest na rzeczy. Jessie miała podwyższoną temperaturę, sztywny kark, a wysypka mówiła sama za siebie. Ella zostawiła Jessie pod opieką Libby i wybiegła z gabinetu.

W paru słowach opisała Kate na osobności kryzysową sytuację, jaka nastąpiła.

– Może żadne inne dziecko tego nie podłapało, ale nie wolno nam ryzykować – dorzuciła. – Dzwoni do Melody West, wiesz, tej kierowniczką przedszkola, i poproś, żeby obdzwoniła rodziny, których dzieci są w tej samej grupie co Carrie i Jessie. Od nich zaczniemy. Przede wszystkim podamy im antybiotyk, który powstrzyma może rozwój tej paskudnej choroby, ale trzeba je też będzie zaszczepić.

Ella zawiesiła głos i zbierała przez chwilę myśli.

– I odsyłaj do domu każdego pacjenta, który nie wymaga mojej natychmiastowej interwencji. Mów, że przyjmę ich... – Właśnie, kiedy będzie mogła ich przyjąć? – O szóstej po południu.

– Przecież dzisiaj po południu jest ten festyn, na którym zbierane będą pieniądze dla Ochotniczej Służby Kryzysowej – przypomniała jej Kate.

Ella uśmiechnęła się.

– To będzie sprawdzian, na ile naprawdę są chorzy – powiedziała.

– Ale ty też masz na nim być.

Ella wzruszyła ramionami.

– Nic się nie stanie, jeśli się trochę spóźnię. Nawet nie zauważą.

Kate usiadła przy telefonie, a Ella wróciła do gabinetu.

– Jessie musi iść do szpitala – powiedziała do Libby, zdezynfekowała dziewczynce przedramię wacikiem nasączonym spirytusem i wbiła igłę. – To początkowe stadium choroby, ale ona musi być pod stałą obserwacją. Masz do wyboru: albo zaczekasz na karetkę, albo sami zawieziecie ją do szpitala dziecięcego w Sydney. Gdybyś zdecydowała się na to ostatnie, dam ci karteczkę z listą leków, jakie już jej podałam i uprzedzę ich telefonicznie, że tam jedziesz.

– Zawieziemy ją – oświadczyła Libby. – Nie będę czekała.

– Bill może z wami pojechać?

Libby uśmiechnęła się – blado, ale lepsze to niż nic.

– Spróbowałby nie – mruknęła. – Gra teraz w krykieta z Paulem... O Boże, a jak Paul też się zaraził?!

– Dam ci receptę na antybiotyk dla niego. Wolisz w tabletkach czy w syropie malinowym?

– Lepszy ten syrop.

Ella podała Libby wypisaną receptę, a potem odprowadziła ją do samochodu i pomogła umieścić Jessie w foteliku.

Sfrustrowana zaistniałą sytuacją – jedna karetka i szpital oddalony o dwie godziny drogi – weszła do magazynku i sprawdziła zapas szczepionki. Jeff Courtney, aptekarz, powinien mieć ryfampicynę

– poprosi go, żeby nie zamykał apteki. Zaszczepi dzieci i pośle do niego rodziców po antybiotyki...

Ale czy szczepienie we wszystkich przypadkach przyniesie pożądany skutek? Szczepić dzieci od razu, czy czekać na wyniki badań Carrie?

Najlepiej byłoby się z kimś skonsultować. Na szczęście znała kogoś takiego.

Skrzywiła się lekko. Nie kontaktowała się z Rickiem, odkąd ze sobą zerwali, ale byli kiedyś dobrymi przyjaciółmi i przez krótki czas nawet kochankami, a Rick to specjalista od epidemii!

Wróciła biegiem do gabinetu, podniosła słuchawkę i wybrała numer. Żeby tylko był w domu!

Odebrała kobieta.

– Czy zastałam Ricka? Mówi... – wymamrotała swoje nazwisko, a potem dodała: – Dzwonię w sprawie profilaktycznej akcji szczepień przeciwko zapaleniu opon mózgowych u przedszkolaków.

Zapadła chwila ciszy.

– Rick Martin, słucham?

– To ja, Ella. Rick, przepraszam, że przeszkadzam, ale mam pewien problem i potrzebuję twojej rady.

Pokrótko wyjaśniła mu sytuację.

– Dwójka pacjentów to jeszcze nie tragedia, Ella – uspokoił ją Rick – ale lepiej dmuchać na zimne. Gdzie karetka zawiozła tę pierwszą dziewczynkę?

– Do szpitala dziecięcego w Sydney.

– Zadzwoń tam i poproszę, żeby jak najszybciej ją przebadali. Wyniki powinnaś mieć za pięć do sześciu godzin. Na razie podawaj ryfampicynę. – Za-

wiesił na chwilę głos. – W Nowej Zelandii prowadzą w tej chwili testy nad nową szczepionką. Może udało by się przekonać władze, żeby pozwolono nam przetestować je u nas.

Ella podziękowała mu i rozłączyła się. Teraz musi przyjąć jak najwięcej pacjentów, zanim zaczną przychodzić przedszkolacy.

Przedszkolacy! Brianna!

Serce kazało jej biec do domu i sprawdzić, czy u siostrzenicy nie występują symptomy choroby, ale przecież kąpała ją dzisiaj rano i niczego podejrzanego na jej skórze nie zauważyła.

Kiedy wypuszczała z gabinetu trzeciego pacjenta, do pustej już poczekalni wkroczył Nash.

– No i jaki masz plan? – spytał.

Spojrzała na niego spod ściągniętych brwi, nie rozumiejąc tego pytania.

– Względem dzieci, które miały bliski kontakt z Carrie? Szczepisz?

– Na razie tylko je przebadam i przepiszę antybiotyki. Jeśli szczęście mi dopisze, do wieczora będę miała wyniki badań Carrie. Dopiero wtedy pomyślę o szczepieniu.

Nash patrzył na nią podejrzliwie.

– Sama podjęłaś tę decyzję? Bez konsultacji z kimś, kto może zna się lepiej od ciebie na epidemiach zapalenia opon mózgowych?

Tak łatwo byłoby powiedzieć mu, że odbyła taką konsultację, ale rozwścieczył ją ton, jakim się do niej zwracał. Podniosła hardo głowę, spojrzała mu w te srebrne oczy i wypaliła:

– A co cię to obchodzi? Po raz pierwszy od kilku miesięcy przyjeżdżasz odwiedzić matkę i... Dobrze, pomogłeś mi zdiagnozować Carrie, ale teraz przesiadujesz tu, liczysz mi pacjentów, rachujesz, ile też mogę wyciągać na godzinę, i nie dość, że przeskadzasz samą swoją obecnością, to jeszcze masz czelność dyktować, co powinnam, a czego nie.

– Zapominasz o jednym! – wybuchnęła. – To moje miasto i troszczę się o jego mieszkańców!

– O mieszkańców czy może bardziej o to, że jakaś niekompetentna lekarka może popsuć opinię przychodni twojej matki i zmniejszyć jej wartość? Całymi miesiącami nie interesujesz się matką, ale kiedy napomyka ci, że zamierza sprzedać praktykę, w te pędy się tu zjawiasz. Jesteś pewien, że to ludzie, a nie pieniądze leżą ci na sercu?

Wyraz złości na jego twarzy uświadomił jej, że przeciągnęła strunę.

– Troszczę się o ludzi – powiedział, cedząc słowa. – Ludzi z tego miasteczka, którzy dosyć już wycierpieli!

Nie dodał „zdani na łaskę jakiejś tam Marsden”, ale nie musiał. To rozumiało się samo przez się. Elli krew odpłynęła z twarzy. Spojrzała mu w oczy.

– To ładnie to okazujesz! – warknęła i odwróciła się na pięcie. Na parkingu zatrzymał się samochód z pierwszym z przedszkolaków wezwanych przez Melody West.

Nash ochłonął. Zaraz zaczną podjeżdżać następni. Wypadałoby pomóc w ich badaniu. Jest przecież lekarzem.

– Cześć, przybyszu!

Do poczekalni wszedł Bob Carruthers, jego najlepszy kolega ze szkoły, z dwojgiem wrzeszczących dzieci na rękach.

– Będziesz dziś na festynie? Pogadalibyśmy, bo teraz...

Bob spowaźniał, uciszył dzieci i podszedł bliżej.

– To coś groźnego, te opony mózgowe?

– Owszem, choroba jest paskudna, ale miejmy nadzieję, że uda nam się uodpornić na nią wszystkie dzieci.

Wchodzili kolejni zatroskani rodzice. Nash podszedł do rejestracji.

– Jest tu jakieś wolne pomieszczenie, w którym mógłbym przyjmować?

Kate spojrzała na niego niepewnie.

– Musiałabym spytać Ellę...

– Nie, sam ją zapytam – mruknął Nash, spoglądając na matkę z dzieckiem wychodzącą z gabinetu. – Wpadnę tam na chwilę, zanim wezwie następnego pacjenta.

Ella w okularach w czarnej oprawce na nosie, wprowadzająca informacje do komputera, wyglądała zupełnie jak dziecko bawiące się w „dorosłych”.

Z Nasha wyparowały resztki gniewu.

– Mogę pomóc – mruknął.

Ella podniosła na niego wzrok. Przyglądała mu się przez chwilę czujnie, a potem jej twarz się rozjaśniła. Nash też się uśmiechnął.

– Dzięki – powiedziała, poważniejąc. – Nie wiem, czy słyszałeś, ale stwierdziłam już drugi przypadek

z tej samej grupy przedszkolnej. Sprawdzam, czy dzieci nie mają wysypki, wyjaśniam sytuację rodzicom, mówię, że może potrzebne będzie szczepienie i proszę ich o zgodę na piśmie. Rozdaję też ulotki informacyjne, w których mają wyszczególnione, na co należy zwracać uwagę.

– Czyli mam badać dzieci, wyjaśniać rodzicom, rozdawać ulotki i receptę na antybiotyki... aha, i prosić o pisemną zgodę na szczepienie, gdyby to okazało się konieczne?

Ella kiwnęła głową.

– Naprawdę bardzo ci dziękuję, Nash – dodała.
– Po drugiej stronie korytarza jest kompletnie wyposażony gabinet lekarski.

– Wszyscy załatwieni?

Ella oderwała zmęczone oczy od ekranu komputera. W progu stał Nash.

– Wszyscy. – Westchnęła z ulgą i nagle coś jej się przypomniało. – Brianna! Muszę jeszcze zbadać Briannę.

Przez twarz Nasha przemknął cień współczucia.

– Ty masz już dosyć na dzisiaj – powiedział. – Ja ją zbadam.

Ella kiwnęła głową.

– Dobrze. Pójdę po nią. Odznaczyłam tu wszystkie dzieci, które dziś przyjęliśmy. W grupie Jessie i Carrie jest ich dwadzieścioro czworo, nie licząc Brianny. Obejrzeliliśmy wszystkie, prócz czworga. Melody, kierowniczka przedszkola, próbuje wciąż dodzwonić się do tej czwórki.

Spojrzała na Nasha.

– Zastanawiam się, czy nie przebadać również dzieci z innych grup, ale nie chcę wywoływać w Edenvale paniki.

– Idź po Briannę – powiedział Nash głosem tak łagodnym, że coś chwyciło ją za gardło.

Przełknęła z trudem, przypominając sobie, że jest przecież jej wrogiem. Tylko on może jeszcze odwieść matkę od zamiaru sprzedaży praktyki.

– Dobrze – mruknęła, wstając.

Brianny ani pani Carter nie było w domu, ale radosne piski dolatujące z ogrodu powiedziały Elli, gdzie je znajdzie. Karen pierwsza chyba usłyszała kroki Elli, bo obejrzała się i zrobiła zaskoczoną minę.

Najwyraźniej spodziewała się zobaczyć Nasha.

– Nie rozumiem, jak w ogóle mogło ci przyjść do głowy, żeby sprzedać praktykę komuś tak niekompetentnemu, że Nash, zamiast być tu z tobą, musi siedzieć w przychodni i pomagać.

Słowa te skierowane były do Sary, która plotła Briannie wianek ze stokrotek, ale wypowiadając je, Karen patrzyła nieprzychylnie na Ellę.

– Były jeszcze jakieś przypadki? – spytała Sara, zakładając Briannie na głowę gotowy wianuszek i obiecując Pete’owi, że jemu zaraz też taki uplecie.

– Jak dotąd tylko dwa – odparła Ella. – Zostało nam do przebadania czworo dzieci. – Urwała. – I Brianna – dokończyła zduszonym głosem.

– Jej chyba nic nie jest – rzekła Sara, spoglądając z niepokojem na Briannę. – Ty ją będziesz badała?

– Nie, Nash. – Ella wzięła dziewczynkę za rączkę.
– Chodź, kwiatuszku. Carrie i Jessie z twojego przedszkola zachorowały i Nash chce sprawdzić, czy tobie też to nie grozi.

– Nie widzę śladu wysypki i jeśli ona na nic się nie skarży, to nie ma powodu do obaw – zwrócił się Nash do Elli.

– Wmawiałam to sobie przez całą drogę – przyznała Ella. – Nie pomogło.

Nash spojrzął na stojącą między nimi śliczną dziewczynkę w wianuszkach na jasnej główce.

– Chodź, panno Brianno – zwrócił się do niej.
– Obejrzymy sobie ciebie dokładniej.

Posadził małą na stole. Uśmiechnęła się do niego i zamachała opalonymi nóżkami w sandałkach.

– W szkole mówi się panno do nauczycielek – powiedziała. – A ja niedługo będę chodziła do szkoły.

– Nie tak niedługo, kwiatuszku – wtrąciła Ella.
– W przyszłym roku do szkoły idzie Pete, a wy z Carrie będziecie musiały poczekać jeszcze rok.

– Powinnam iść z Pete’em – obruszyła się Brianna. – To mój najlepszy kolega, a najlepsi koledzy powinni trzymać się razem.

Nash pokazał Elli termometr.

– Nie ma temperatury ani wysypki, podamy więc antybiotyk i zaczekamy na wyniki badań Carrie – powiedział, stawiając Briannę na podłogę. – Apteka jeszcze otwarta?

Na twarzy Elli odmalowało się poczucie winy.

– Ojej, biedny Jeff – stwierdziła. – Zapomniałam go powiadomić, że skończyliśmy z przedszkolakami. Ryfampicyny, którą mam tutaj, wystarczy dla Brian-y i tej pozostałej czwórki, jeśli Melody ich znajdzie.

– Jeff Courtney? Przejął aptekę po ojcu?

– Nie, ojciec nadal ją prowadzi, ale ostatnio robi sobie wolne w weekendy. – Sięgnęła po słuchawkę i wybrała numer. – Jeff? Tu Ella. Przebadałam już prawie wszystkich, możesz zamykać. Mam tu wystarczający zapas antybiotyku. Dzięki za pomoc.

Nastąpiła pauza, podczas której Nashowi się wydało, że Ella się zarumieniła, zanim dodała:

– Przesunęłam wizyty pacjentom z godzin porannych na szóstą, nie wiem więc, kiedy tam dotrę, ale będę się starała.

Odłożyła szybko słuchawkę i pochyliła się nad Brianną.

Tak, na pewno się zaczerwieniła.

– Tylko mi nie mów, że spotykasz się z Jeffem Courtneyem – powiedział Nash.

Rumieniec na twarzy Elli pociemniał.

– A co ci do tego?

– Nie, nic, tak mi się tylko wymknęło.

– Chodź, Brianna – rzekła obrażona Ella. – Pójdziemy do magazynku po lekarstwo, dzięki któremu nie zachorujesz na to co Carrie, a potem odprowadzę cię do domu, żebyś się przespała przed wieczornym festy-nem.

ROZDZIAŁ TRZECI

– O czym tak rozmyślasz? – spytała Ella, wracając po kilku minutach.

– O cenach mleka – odburknął Nash, zły, że zaskoczyła go w poczekalni zapatrzonego w przestrzeń, rozpamiętującego znowu swoją reakcję na jej obecność, bez wątpienia mającą coś wspólnego z przeszłością.

– Od razu widać, że rozmawiałeś z Sarą. – Ella ruszyła do drzwi wyjściowych, przepuściła go przodem i zamknęła je na klucz.

Brianna pobiegła podjazdem, a Ella podjęła:

– To teraz tutaj wielki problem. Edenvale było zawsze ośrodkiem dochodowego przemysłu mleczarskiego, ale ceny mleka bardzo ostatnio spadły, deweloperzy proponują wysokie ceny za grunty i farmerskie rodziny mają dylemat. Sara martwi się, że ludzie, którzy przepracowali całe życie na farmie, nie będą wiedzieli, co ze sobą począć, kiedy sprzedadzą swoje gospodarstwa i będą mogli przejść na emeryturę.

Nash uczepił się tego tematu jak tonący brzytwy. Lepiej już rozmawiać o emeryturach, niż zastanawiać się, dlaczego Ella tak na niego działa.

– Ale przecież biznesmeni, służby mundurowe, mnóstwo ludzi przechodzi na emeryturę o wiele wcześniej – zauważył.

– Tak, ale oni odkładają przez całe życie część pensji, żeby zapewnić sobie na starość bezpieczeństwo finansowe. Farmerzy nie planują przejścia na emeryturę, a nawet jeśli, to wątpię, czy mieliby z czego na nią oszczędzać. Zakładają z góry, że zostaną na farmie do końca życia, na utrzymaniu dzieci, które ją przejmą.

Elli odpowiadał taki stosunkowo nieszkodliwy temat do rozmowy, chociaż dyskusja o zabezpieczeniu finansowym producentów mleka ocierała się niebezpiecznie o sprawy, o których wołała nie myśleć.

Przynajmniej nie w tej chwili.

– Czy farmerzy, którzy sprzedali deweloperom ziemię, zostają w miasteczku?

Kolejne łatwe pytanie.

– Na razie sprzedało dwóch i obaj zostali.

Gdy dotarli do domu, Brianna zniknęła za budynkiem. Śpieszno jej było do ogrodu. Ella zerknęła przepraszająco na Nasha i pobiegła za nią.

– Ach, to znowu ty – fuknęła na jej widok Karen.
– Gdzie Nash?

– Idzie za mną – odparła Ella i obejrzała się, ale Nasha za nią nie było.

A co tam, Nash McLaren to już duży chłopiec i da sobie radę. Podziękowała Sarze za zajęcie się Pete'em, wzięła dzieci za rączki i weszła z nimi do domu.

– Pora na drzemkę – poinformowała oboje.

Brianna posłusznie pomaszerowała do swojego pokoju, Pete, o dziwo, też bez słowa protestu wdrapał się na łóżko Elli. Kiedy dała mu do oglądania książeczkę o wozach strażackich, podniósł na nią ciemne oczy i drżącym głosem spytał:

– Czy Carrie wyzdrowieje?

Ella objęła go i przytuliła.

– Przez jakiś czas będzie może chorowała, ale lekarze zrobią wszystko, żeby to długo nie potrwało – zapewniła chłopczyka, modląc się w duchu, żeby tak się to właśnie skończyło. – Pooglądaj sobie obrazki, a ja zajrzę tylko do Brianny, a potem wrócę i ci poczytam.

Pod drzwiami sypialni stał Nash. Zaparło jej dech w piersiach.

– Pewnie wszystko się w tobie przewraca, kiedy mnie tu widzisz – wykrztusiła – zupełnie jakbym wyrugowała Sarę z jej własnego domu. Posłuchaj, zajrzę tylko do Brianny, a potem spróbuję ci wytłumaczyć...

Zaraz, przecież obiecała Pete’owi, że mu poczyta...

– Ja poczytam Pete’owi – powiedział Nash.

Oniemiała. Telepatia czy co?!

– Idź do Brianny – dodał, uśmiechając się. – Porozmawiamy później.

Brianna spała już, tuląc do siebie wystrzępionego pluszowego misia. Ten miś tak wiele dla niej znaczył. Uosabiał bezpieczeństwo i do Elli przez tych pięć ostatnich miesięcy docierało stopniowo, że z kolei dla niej takim symbolem bezpieczeństwa – takim misiem – jest miasteczko Edenvale.

Teraz zjawił się tu Nash, stał jej nad głową w pracy, szwendał się po domu – domu należącym bardziej do niego niż do niej...

Sara zapewniała ją, że Nash nie chce domu ani praktyki, ale ona teraz zaczynała mieć co do tego wątpliwości. Może i nie chce jej dla siebie, czy

dopuści jednak, aby przejął ją ktoś z rodziny Marsdenów?

Podobnie jak większość mieszkańców miasteczka, uważał jej ojca za oszusta, nie wierzył, że przyczyną złego gospodarowania pieniędzmi z miejskiej kasy była niekompetencja. Do tego dochodził Russell – jego pełen życia, wesoły, inteligentny młodszy brat.

Że o śmierć Russella Nash obwinia Meg, Ella nie miała najmniejszych wątpliwości, ale nie można się przecież zakochać na zawołanie, a Meg nigdy nie kochała Russa – przynajmniej nie aż tak, jak on by tego pragnął...

Nash wyszedł z pokoju Pete'a.

– Miałaś mi coś wytłumaczyć – powiedział.

W ciemnym korytarzu oczy miał bardziej błękitne niż szare. Ella pokręciła głową.

– Miałam, ale chyba dosyć czasu już ci zajęłam. Przyjechałeś do matki, a ona ledwie miała okazję rzucić na ciebie okiem.

– Sara zdąży się jeszcze na mnie napatrzeć – odparł. – Postanowiłem zostać na noc. Spotkać się ze starymi znajomymi na festynie.

Zamurowało ją. Zdobyła się na wymuszony uśmiešek i powiedziała z udawanym entuzjazmem:

– A to się Sara ucieszy!

– Dlatego właśnie wszedłem bez zaproszenia do domu – podjął Nash. – Chciałem sprawdzić, czy rzeczy, które tu zostawiłem, są jeszcze w moim dawnym pokoju, czy mnie też przeflancowałaś już do bungalowu.

– W tamtej części domu niczego nie ruszałam

– odparowała z irytacją. – Jeśli ktoś przeniósł twoje rzeczy, to tylko Sara, ale nie było cię tutaj tak długo, że na pewno już z nich wyrosłeś, tak jak wyrosłeś z tego miasteczka. I to nie ja, lecz Sara wpadła na pomysł, żebym się tu wprowadziła. Powiedziała, że ten dom jest dla niej za duży i czuje się w nim obco, od kiedy nie ma tu Russella, ciebie i waszego ojca.

Zrobiła króciutką przerwę na zaczerpnięcie tchu i kontynuowała:

– Chciałam zatrudnić opiekunkę do Brianny, ale Sara zauważyła, że gdybym zamieszkała tutaj, to pani Carter mogłaby się nią zajmować. Płacę za to pani Carter i płacę twojej matce za wynajem. Zadowolony?

Ella potrząsnęła głową, żeby odpędzić od siebie gniew, ale nie pomogło.

– I gdybyś częściej przyjeżdżał w odwiedziny albo od czasu do czasu przywoził do domu znajomych, twoja matka nie czułaby się może taka samotna i nie zdecydowała się na przeprowadzkę.

Nash nie odzywał się. Patrzył na nią tylko z taką intensywnością, że cały gniew wreszcie z niej wyparował i zastąpiło go zakłopotanie.

– Mam robotę – mruknęła, odwracając się. – A ty się nie krępuj, idź do swojego pokoju.

Patrząc, jak Ella oddala się w kierunku kuchni, Nash przypomniał sobie, że nie jadł przecież lunchu. Ona chyba też nie. Czyżby szła zrobić sobie kanapkę? Może by tak za nią pójść? A jeśli znowu na niego naskoczy?

Ze zdziwieniem skonstatował, że wcale się tego nie boi. W zasadzie przyznawał jej rację we wszyst-

kim, co mówiła. We własnym sumieniu była dla siebie nawet surowsza.

Ale jeśli wynajmuje dom, to dlaczego nie mieszka po tamtej stronie? Dlaczego nie korzysta z dawnej sypialni matki, lecz z tej małej, w której wypoczywa teraz Pete?

Czyżby Ellę krępowało, że mieszka w tym domu? Marsdenówna skrępowana?

Odpada!

Pokręcił głową i poszedł do swojej dawnej sypialni, tej, którą dzielił kiedyś z Russellem. Usiadł na podwójnym łóżku, które zastąpiło dwa pojedyncze, i rozejrzał się po znajomych ścianach i półkach.

Przez to wychodzące na morze okno wymykali się często na nocne eskapady z Bobem, Joshem Millsem i innymi chłopakami z paczki, a potem, kiedy podrośli, żeby rzucać kamyczkami w okna sypialń dziewcząt, w których się durzyli, i prowadzić ze swoimi Juliami szeptane rozmowy.

– Sara na pewno coś ci zostawiła, ale zrobiłam ci kanapkę i kawę na początek.

W drzwiach stała Ella.

– To zawsze ty podchodziłaś w tamte noce do okna? – spytał. – Czy może zamieniałyście się czasami z Meg?

Ella zawahała się z początku, ale potem zrozumiała chyba, o co mu chodzi, bo uśmiechnęła się z przymusem.

– Zamieniałyśmy się od czasu do czasu rolami w szkole – przyznała. – Tak dla zgrywu, żeby zakpić z nauczycieli. I czasami na randkach, ale tobie chyba

nigdy nie zrobiłyśmy takiego numeru. – Zawiesiła na chwilę głos, a potem dodała: – Wiem, nie było to fair. Ale nie miałyśmy wtedy lekkiego życia i ubarwiałyśmy je sobie na rozmaite sposoby.

Z tymi słowami odwróciła się i odeszła, a Nash uświadomił sobie, że nigdy nie próbował spojrzeć na życie bliźniaczek Marsden od ich strony.

Kiedy były podlotkami, odeszła od nich matka. Porzuciła męża i dorastające córki dla dziesięć lat od siebie młodszego przygodnego surfera. Ojciec, który kierował spółdzielczą kasą oszczędnościową, zaczął wtedy pić – a ściślej rzecz biorąc, pić bardziej otwarcie i więcej, bo do kieliszka zawsze lubił zaglądać. Po jakimś czasie źle się zaczęło dziać ze spółdzielnią i ponad połowa rodzin z miasteczka, w tym McLarenowie, straciła zdeponowane w niej pieniądze.

Edenvale z miejsca naznaczyło Toma Marsdena piętnem oszusta i alkoholika. A dziewczynkom przypięło łatkę dzikusek...

Tam do licha, przestań jej współczuć!

Nash podniósł się z łóżka i poszedł za Ellą. Nie zwalniając, przemaszerował przez kuchnię, wyszedł z domu i skierował się do bungalowu.

Matka na pewno zostawiła mu coś z lunchu, a Karen będzie znów narzekać, i to nie wiedząc jeszcze, że zostają na noc.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! Ty sobie zostawaj, jeśli uważasz, że ta kobieta nie potrafi sobie poradzić z paroma przypadkami zapalenia opon, ale ja ani myślę rezygnować z przyjęcia u Beavisów. Wracam

do miasta jeszcze dzisiaj twoim samochodem. Ty możesz sobie jutro wynająć drugi w agencji, jeśli są takie w tej miejscinie.

Ubodło go tych „parę przypadków zapalenia opon”, wypowiedziane takim lekceważącym tonem. Powodu do niepokoju może i nie ma, ale Karen jako lekarz zdaje sobie przecież sprawę, jaka to poważna choroba.

A może by jej powiedzieć, dlaczego tak naprawdę chce zostać – żeby pogadać wieczorem przy grillu ze starymi znajomymi i poczuć się znowu jak w domu. Czy wtedy by z nim została? Znał odpowiedź. Spojrzałaby na niego ze zgrozą i doradziła wizytę u psychiatry.

Nie, już lepiej trzymać się tych opon.

– Przepraszam, ale czuję się w jakimś stopniu zobligowany. Wiele osób, z którymi dzisiaj rozmawiałem – rodzice dzieci, które badałem – to moi starzy znajomi. Opuściłbym ich w potrzebie, wyjeżdżając.

Był to oczywisty nonsens. Ella dowiodła, że potrafi sobie sama poradzić. Ale Karen jakby to udobruchało. Nachyliła się i cmoknęła go w policzek.

– Jesteś za szlachetny. Od dawna ci to powtarzam. To dlatego rzadko kiedy miewasz wolny weekend. Miałam nadzieję, że w ten urlop będzie inaczej.

Odsunęła się od niego i już wiedział, że sentymentalny moment minął.

– Ale na jutrzejszym wernisażu Charliego będziesz.
– Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

Nash stłumił westchnienie.

– Postaram się – mruknął.

Karen, nie czekając na jego odpowiedź, zegnała się już z Sarą.

– Ja wracam do miasta – mówiła. – A wy się sobą nacieszcie.

– Tak właściwie to dlaczego zostajesz? – spytała matka, odprowadziwszy Karen do samochodu.

– Bo Elli trzeba pomóc – odparł Nash.

– Doprawdy?

Właściwie to sam nie wiedział, dlaczego zostaje. Może żeby pogawędzić z Bobem na festynie, może żeby posiedzieć w swoim dawnym pokoju i wspominać Russella... a może żeby spędzić jeszcze trochę czasu z Ellą i z matką.

Sara zaprowadziła go do kuchni i wyjęła z lodówki talerzyk z sałatką.

– Dlaczego Ella mieszka po naszej stronie domu? – zapytał, sięgając po widelec.

– Ja tak zdecydowałam. Zresztą w drugim skrzydle, tym, które twój dziadek dobudował dla swojej siostry i jej dzieci, mieszka pani Carter.

Sara popatrzyła w okno, a potem dodała:

– Ella to samotniczka. Stroni od ludzi. Chyba myśli, że jeśli nie będzie się zanadto rzucała w oczy, to pozwolą jej tu zostać.

– A dlaczego mieliby nie pozwolić? – zdziwił się Nash.

Matka popatrzyła na niego przeciągle.

– Przecież wiesz, jak miasteczko traktowało te dziewczynki, kiedy ich ojciec przetracił spółdzielcze pieniądze! Było to wkrótce po śmierci twojego ojca i jedyne, co mnie usprawiedliwia, to żałoba – powiedziała cicho – ale do tej pory mam wyrzuty sumienia, że się za nimi wtedy nie ujęłam. Wszyscy się od nich

odsunęli. Potem Tom Marsden zapił się na śmierć i zostały same. To zrozumiałe, że ona teraz nie ma pewności, czy jest tu mile widziana.

Nash odsunął od siebie talerzyk z niedojedzoną sałatką. Powróciły wspomnienia, a on żałował teraz, że nie wrócił z Karen do miasta.

On zerwał z Ellą przed śmiercią jej ojca, ale Russell dalej zabiegał o względy nieczulej na jego zaloty Meg. Kiedy zaproponował odwiedzin u dziewcząt – żeby złożyć kondolencje i zapytać, czy czegoś im nie trzeba – Nash odmówił, głównie z powodu poczucia winy, że tak potraktował Ellę...

– Russell prosił, żebym pozwoliła im u nas zamieszkać do czasu, kiedy skończą szkołę. Wiedziałeś o tym?

– Pierwsze słyszę! Kiedy? Trzy miesiące po śmierci taty? Jak wszystko wskazywało, że do tego zawału przyczynił się wstrząs, którego doznał, tracąc całe oszczędności? I ty chcesz teraz sprzedać praktykę Elli?! To ma być jakaś forma rekompensaty, że opłakując śmierć mojego ojca, nie zajęłaś się tymi bliźniaczkami? Nie zapomniałaś czasem o jednym małym szczegółiku? Tato może tak czy owak miałby ten zawał, ale Russell na pewno przeniósł się na tamten świat przez Meg!

– Nie, Nash, dobrze wiesz, że to nieprawda. Russell był chory i nawet gdyby Meg go nie odtrąciła, to i tak z takiego czy innego powodu dopadłaby go w końcu ta depresja. Nie zrzucaj winy na Meg. Co ona mogła poradzić na to, że nie potrafiła go pokochać?

Spojrzała na niego karcąco.

- I Elli też nie wiń. Jest wspaniałą lekarką.
- Ale dlaczego tu wróciła, mając świadomość, że nie zostanie przyjęta z otwartymi ramionami?
- Tego nie wiem – przyznała Sara i wyszła do ogrodu, zanim zdążył ją zasypać kolejnymi pytaniami.

Ella siedziała przy kuchennym stole i wpatrywała się w kanapkę z żółtym serem, którą sobie przed chwilą zrobiła, ale po nią nie sięgała. Trudno jeść, kiedy w głowie galopada myśli – Carrie, Nash, szczepienia, Nash, Jessie, Nash, zapalenie opon mózgowych, Nash...

Nie wszystko naraz, upomniała się. Carrie i Jessie są już chyba w szpitalu, pod dobrą opieką, nic im nie zagraża. Trzeba myśleć pozytywnie. A jeśli już nie pozytywnie, to przynajmniej praktycznie!

Tylko patrzeć, jak Melody wytropi nieprzebadaną jeszcze czwórkę przedszkolaków, Pete'owi nic nie jest, a jego rodzicom podadzą w szpitalu ryfampicynę.

Czyli pozostaje tylko Nash...

Pał licho Nasha!

Łatwo powiedzieć.

Nashowi nie podoba się pomysł sprzedaży praktyki Marsdenom. Wprost tego nie powiedział, ale widać.

I tylko to ją gnębi, jeśli chodzi o Nasha?

A cóż by jeszcze!

Kłamczucha.

Wstała, wyrzuciła kanapkę do kosza i zajrzała do Pete'a. Na szczęście spał jeszcze, tuląc do siebie książeczkę o samochodach strażackich.

Fakt, podkochiwała się w Nashu.

Wszystkie nastolatki w kimś tam się podkochują!
Normalna sprawa!

A on był równym chłopakiem, pomagał jej w matmie i nie chciał za to pieniędzy.

Robił to z dobrego serca, czy chciał się do niej tym sposobem zbliżyć? Nigdy nie zapomni, jak zdjął jej kiedyś okulary i pocałował w usta. Jej pierwszy pocałunek!

Z tym że Nash o tym nie wiedział, i nie uwierzyłby, gdyby mu nawet powiedziała. Bliźniaczki miały wyrobioną opinię, a łatwiej wierzy się w plotki niż w prawdę.

Pierwsze randki – z Meg i coraz to innym kolegą, którego przyprawdzał dla niej Nash – były w miarę stateczne, chociaż ich pocałunki na dobranoc stawały się coraz bardziej namiętne. Ale potem, pewnej księżycowej nocy, na plaży, Nash posunął się za daleko, o czym mu powiedziała, wyswobodzając się rozgniewana i zawstydzona z jego objęć.

I to był koniec. Następnego dnia chodził już z Lisą Warren, królową siatkówki...

Nash wszedł i zatrzymał się tuż za progiem.

– Przepraszam, powinienem być zapukać.

Ella pokręciła głową.

– To nadal twój dom – powiedziała. – Ja tu jestem intruzem.

– Głupstwa mówisz – mruknął. – Ale ja w innej sprawie. Chciałem cię zapytać o mamę.

Przyciągnął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem, składając przedramiona na oparciu.

– Napomykała mi coś o kuracji antybiotykowej. Widziałem ją pracującą w ogrodzie, to jakiś cud. Możesz mi to wyjaśnić?

Ella oparła się o zlew.

– Przeczytałam gdzieś, że wczesne stadia artretyzmu reumatoidalnego można leczyć tetracykliną. Postanowiłam wypróbować tę kurację na twojej matce, i pomogło.

– Tetracykliną?

– Sama też bym na to nie wpadła. – Ella odnosiła wrażenie, że Nash nie w tej sprawie do niej zaszedł i następne jego pytanie potwierdziło to przypuszczenie.

– Dlaczego wróciłaś, Ella?

Westchnęła i wzruszyła ramionami.

– Miałyśmy tu z Meg cudowne dzieciństwo. Fakt, później się popsuło, ale tych pierwszych lat w Edenvale nikt mi nie odbierze. Plaża, jaskinie, farmy, wzgórze – to był ideał.

Patrząc mu w oczy, zawiesiła głos.

– Chciałam tego samego dla Brianny – dodała. – Meg też chciała. Zostawiła list. Nie to, żeby spodziewała się śmierci...

Głos się jej załamał. Szybko jednak wzięła się w garść.

– Pisała w tym liście o naszym dzieciństwie i o dorastaniu w małym miasteczku, gdzie życie toczy się wolniej niż w metropolii, i gdzie wszyscy się znają i obserwują. Kiedy zobaczyłam w gazecie ogłoszenie twojej matki, nie wahałam się ani chwili. Zdawałam sobie sprawę, że mogę tu nie być mile widziana, ale postanowiłam zaryzykować.

Mówiąc to, wpatrywała się w ścierkę, którą miała w dłoniach, a policzki oblewał jej rumieniec.

– I wygląda na to, że się udało, skoro chcesz kupić tę praktykę – zauważył Nash.

Kiwnęła głową.

– Bardziej, niż się spodziewałam – przyznała. – Brianna jest wniebowzięta.

– A ty?

Posmutniała.

– Ja też czuję się tu jak u siebie – powiedziała cicho, ale jakoś bez przekonania.

Czyżby przygnębiały ją wspomnienia o Meg?

Potrafiłby to zrozumieć – jemu też Edenvale przypominało Russella, ale jego, w odróżnieniu od Elli, ludzie nie wytykali przynajmniej palcami.

Kto wie, czy matka nie ma racji? Może Edenvale zrobiło z bliźniaczek Marsden kozły ofiarne, obwiniając je o przekręty ich ojca i śmierć swojego uwielbianego doktora?

Jeśli tak, to czy Ella nie uczyniłaby lepiej, wybierając dla siebie i Brianny inne małe miasteczko, gdzie nikt jej nie zna?

I znowu odniósł wrażenie, że Ella nie mówi mu jednak całej prawdy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Muszę nakarmić psy.

Ella weszła do spiżarni i napełniła wiaderko suchą karmą z torby.

– Dlaczego akurat charty? – spytał Nash, wchodząc tam za nią.

– To są psy Meg – odparła, ruszając z wiaderkiem w kierunku werandy, gdzie Babcia i Dziadek, najstarsze z trzech psów, czekały już zapewne na posiłek. – Były jej pasją. Nie tyle może same psy, co los tych, które z takiego czy innego powodu nie mogą już startować w wyścigach. Każdego roku tysiące wyścigowych chartów trafia do schronisk, a to łagodne psy i, wbrew powszechnej opinii, mało wymagające. Są dobrymi towarzyszami, zwłaszcza dla ludzi starszych i dzieci, a więc warto je ratować.

Mówiąc to, przesyłała zawartość wiaderka do trzech misek, wyprostowała się i odwróciła do Nasha.

– Donny nie wciskałam twojej matce na siłę – podjęła. – Zobaczyła moje pieski, a właściwie pieski Meg, i zachwyciła się nimi. I dołączyła do kampanii na rzecz ratowania chartów. Pełno ich tutaj.

Nash potrząsnął z niedowierzaniem głową, ale nadchodząca właśnie ścieżką Sara na pewno słyszała te słowa i nie zaprzeczyła.

– Przyszłam zapytać, czy mam się zająć Pete'em i Brianną, kiedy wrócisz do pracy – zwróciła się do Elli. – Pani Carter szykuje sałatki na festyn i nie będzie miała dla nich czasu. Przyprawdzą je wieczorem na zabawę.

Ella pokręciła głową.

– Wiem, że tutaj byłyby z tobą bezpieczne, ale na grillu chyba byś ich nie upilnowała. Wyobrażasz sobie Pete'a na takiej imprezie?!

– Ja go będę miał na oku.

Ella spojrzała ze zdumieniem na Nasha.

– Ty?

Uśmiechnął się.

– Upilnowanie pięciolatka to chyba nie takie znowu wyzwanie.

– Przecież wracasz do miasta.

– Tak, ale jutro – odparł, znowu się uśmiechając, tym razem jednak w taki sposób, że Ella poczuła się nieswojo.

I nabrała podejrzeń!

Pewnie potrzeba mu więcej czasu na wyperswadowanie matce sprzedaży praktyki. Bo cóż innego skłaniałoby go do przenocowania w Edenvale?

– Pójdę zobaczyć, czy Pete i Brianna się obudzili – mruknęła i wbiegła do domu, uciekając przed Nashem i swoimi myślami.

Pół godziny później zaprowadziła dzieci do bungalowu Sary i wróciła do domu, żeby wziąć szybki prysznic przed popołudniowym dyżurem.

W przychodni czekała już na nią Melody West.

– Idę na festyn, ale słyszałam, że cię tu zastanę, wpadłam więc powiedzieć, że odnalazłam tę brakującą czwórkę. Są spokrewnione i pojechały do rodziny na wesele. Powiedziałam rodzicom, co się dzieje i poradziłam, żeby zgłosili się z dziećmi do tamtejszego szpitala na badania kontrolne.

– Dziękuję, Melody. To nam oszczędzi kłopotu.

Na parking przed przychodnią skręcały jeden za drugim samochody.

– Oho – rzekła Melody – masz już pierwszych małych pacjentów. Znam te auta z widzenia, zatrzymują się codziennie przed przedszkolem.

Więść się rozeszła i teraz zaniepokojeni rodzice przedszkolaków postanowili równocześnie przebadać swoje pociechy. Nie pomieszczą się wszyscy w poczekalni!

Ella wyniosła z przychodni krzesło, stanęła na nim i zwróciła się do wysiadających z samochodów:

– Proszę o uwagę! Jeśli ktoś z państwa był umówiony na rano i nie został przyjęty, niech wejdzie do poczekalni. Tych z państwa, którzy przyjechali tu w związku z przypadkami zapalenia opon mózgowych, a ich dzieci mają podwyższoną temperaturę albo wysypkę, też zapraszam do środka. Co do reszty, to ewentualne szczepienia rozpoczną się dopiero w poniedziałek, kiedy będę już wiedziała, na jaki rodzaj zapalenia opon mózgowych zachorowała ta dwójka dzieci. Jeśli szczepionka, którą aktualnie dysponuję, jest odpowiedniego typu, to w poniedziałek będę szczepiła dzieci z grupy przedszkolnej Jessie i Carrie. Dla tych, którzy również zdecydują się

zaszczepić, zamówię nową dostawę, ale dotrze ona najwcześniej we wtorek. Sprawa nie przedstawia się najlepiej, nie ma jednak powodów do paniki. Tak więc, jeśli nie macie państwo gorączki albo wysypki i nie mają ich wasze dzieci, idźcie na festyn i dobrze się bawcie.

Część osób zawróciła do samochodów, kilkoro starszych pacjentów weszło do przychodni.

Nash posadził Briannę na tylnym siedzeniu samochodu matki i zapiął pas bezpieczeństwa. Zaczynał żałować, że został w Edenvale. Najbardziej zaś wyrzucał sobie, że podjął się zaopiekować na festynie Pete'em – a przecież jeszcze tam nie dotarli! Dzieciak był zdecydowanie nadpobudliwy i potrafił grać na nerwach.

Matka zapinająca pas Pete'owi po drugiej stronie tylnego siedzenia spojrzała na niego ponad głowami dzieci.

– Pamiętaj, że Carrie jest niepełnosprawna i rodzice poświęcają jej więcej uwagi – powiedziała.

Wyprostował się i spojrzał na nią ponad dachem samochodu.

– Czy oprócz uprawiania ogrodu i ratowania przed zagładą zniedołężniałych chartów praktykujesz teraz czytanie w myślach?

Roześmiała się.

– Nie, ale widziałam, jak popatrzyłeś na Pete'a, ściągając go z dachu szopy. To spojrzenie mówiło samo za siebie.

– Nie wiedziałem, że toto takie żywotne.

– No to już wiesz – orzekła, sadowiać się z przodu w fotelu pasażera. – I masz przedsmak tego, co cię czeka dziś wieczorem.

Nash zajął miejsce za kierownicą i zapalił silnik.

– Boże, po co mi to było! – jęknął, ruszając.

Mały parking przed przychodnią zastawiony był samochodami, przy wejściu kłębił się spory tłumek.

– Tego właśnie Ella się obawiała! – mruknęła matka. – Ludzie spanikowali na wieść o tym zapaleniu.

Nash zerknął na nią spod oka.

– Wypadałoby jej pomóc, ale sama nie poradzisz sobie przecież z tą dwójką.

– Zatrzymaj się i zostań z Ellą – powiedziała. – Ja nie będę sama. Znajdę na festynie kogoś do pomocy przy Briannie i Pecie.

Wysiadła i obeszła samochód. Nash się wahał.

– No, idź! – ponagliła go.

Odstąpił jej miejsce za kierownicą i ruszył przez tłum. Docierające do niego strzępy rozmów wprawiały go w coraz większe rozdrażnienie.

– Nie wierzę, że szczepionki dla wszystkich nie starczy!

– Dlaczego nasze dzieci mają czekać aż do wtorku?

– Pamiętasz tę epidemię w szkole z internatem? Uczniowie, którzy wtedy zachorowali, nie chodzili wcale do tej samej klasy.

– Ja się stąd nie ruszę, dopóki moje dziecko nie zostanie zaszczepione, a w poniedziałek zatelefonuję do ministerstwa zdrowia i złożę skargę na Ellę Marsden...

Nash wszedł do przychodni. Na twarzy rejestra-

torki Kate, kiedy go zobaczyła, odmalowała się wyraźna ulga. Pomachała do niego.

Przecisnął się przez tłum pacjentów do rejestracji.

– Przydam się na coś?

Kate przewróciła oczami.

– Mnie jak mnie, ale Elli na pewno. Z dwójką lekarzy szybciej uporamy się z tym zatorem, ale uprzedzam, że niektórzy tutaj są zdenerwowani i mogą się okazać nieprzyjemni.

– Pójdę do niej.

Kiedy zbliżał się do drzwi gabinetu, te otworzyły się i Ella wyprowadziła do poczekalni starszego mężczyznę.

– Wyjdziemy tamtędy, panie Stubbins – mówiła, kierując się w stronę tylnych drzwi. – Kate zatelefonuje później do pana i umówi na następną wizytę.

Zauważyła Nasha.

– Przecież miałeś pilnować Pete’a na festynie – przypomniała mu.

– Mama zapewniła mnie, że znajdzie mu tam zastępczego opiekuna. Zobaczyliśmy, co się dzieje przed przychodnią i uznaliśmy, że tutaj bardziej się przydam.

Przez jej twarz przemknął cień uśmiechu, ale zaraz spoważniała.

– Nikogo nie szczepię, jeśli w tym właśnie chciałeś mi pomóc.

– Myślałem raczej o roli ochroniarza. Kate mówi, że niektórzy z pacjentów są skorzy do awantur, toteż obecność postawnego mężczyzna w gabinecie mogłaby studzić ich zapędy.

Tym razem uśmiechnęła się szerzej. Zamknęła drzwi za panem Stubbinsem i odwróciła się do Nasha:

– A wiesz, że to jest myśl. Chyba zadzwonię do Ochotniczej Służby Kryzysowej i poproszę, żeby przysłali mi tu kogoś bardzo postawnego!

– A ja się nie nadam?

Ella roześmiała się.

– Oj, nadasz się, nadasz, ale nie jako ochroniarz.
– Spoważniała.

– Jeśli chcesz, to odeślę ich zaraz do domu. Stane i powiem, żeby przyszli w poniedziałek.

Ella pokręciła głową.

– Już próbowałam. Parę osób posłuchało, ale tych, którzy zostali, muszę przyjąć. Wyobraź sobie, co by to było, gdybym ich nie zbadała, a potem okazało się, że u kogoś występowały jednak objawy zapalenia opon! Byłabym ci niezmiernie wdzięczna, gdybyś przyjął choć część z nich. Tak jak rano. Każdemu, kto miał bliski – ale naprawdę bliski – kontakt z Jessie albo Carrie trzeba podać ryfampicynę. W poniedziałek nadejdą wyniki badań dziewczynek, a szczepionki starczy mi tylko dla tych, którzy mieli z nimi najbliższy kontakt. Do wtorku uzupełnię zapasy i będę wtedy szczepiła inne dzieci, ale już odpłatnie, na życzenie rodziców.

Wrócili razem do zatłoczonej poczekalni i rozeszli się do swoich gabinetów.

– To był mój pierwszy od dwóch miesięcy wolny weekend – powiedział Nash, splatając dłonie na politycy i rozprostowując ramiona.

Siedzieli w pokoju śniadaniowym za rejestracją, Kate sprzątała ze stolika puste kubki po kawie i myła je pod kranem. Zebrali się tu we trójkę zaraz po wyjściu ostatniego pacjenta. Każde bez słowa nalewało sobie kawy i siadało przy stoliku.

– Dzwoniła pani Carter z informacją, że dzieci są już w domu i śpią – powiedziała Kate, wycierając kubki. – Aha, i kazała ci jeszcze przekazać, że Pete’a położyła do twojego łóżka.

Ella kiwnęła głową. Pete, kiedy u niej nocował, zawsze spał w jej łóżku, a ona...

Poczuła, że się czerwieni. Zapewniła Nasha, że nie korzysta z tamtej strony domu, a korzystała. Od czasu do czasu, kiedy Pete albo któraś z koleżanek Brianny zostawali u niej na noc, sypiała w dawnym pokoju Nasha i Russella. I zawsze wtedy myślała z żalem o Russellu, który pragnął tylko, żeby Meg go pokochała.

– Dzięki za informację – powiedziała do Kate i dorzuciła: – I dziękuję, że siedziałas tu dziś do późnego wieczora. Bez ciebie i bez Nasha nie poradziłabym sobie, ale na festyn jeszcze zdążycie.

Kate pokręciła głową.

– I tak się tam nie wybierałam – mruknęła. – Staram się oszczędzać przed świętami. Przez kilka ostatnich lat brałam udział we wszystkich przedświątecznych imprezach i w samo Boże Narodzenie byłam taka wypompowana, że nie czułam atmosfery, o sylwestrze już nie wspominając...

Wzruszyła wymownie ramionami, pożegnała się i wyszła.

Ella popatrzyła na Nasha.

– Naprawdę ci dziękuję – powiedziała cicho. – Gdyby nie ty, nie dałabym rady. I przepraszam, że zabrałam ci tyle czasu, który mógłbyś spędzić z Sarą.

Uśmiechnął się.

– Poradziłabyś sobie, może tylko dłużej by to trwało – skorygował. – Ale miałaś rację. Tych ludzi trzeba było przyjąć.

Zawahał się, a potem wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

– Lepiej się teraz czujesz, Ella? – spytał łagodnie. – Po przebadaniu kolejnych trzydziściorga dzieci bez stwierdzenia u żadnego objawów choroby? Lżej ci teraz na duszy?

Spróbowała się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

– W tym miasteczku mieszka ponad pięćset dzieci, a my dzisiaj przebadaliśmy tylko pięćdziesięcioro. Zostaje jeszcze czterysta pięćdziesiąt.

– Ale część z nich jest już zaszczepiona – przypomniał jej. Sam nie wiedział, dlaczego tak bardzo chce ją podnieść na duchu i skąd bierze się to pragnienie objęcia jej, chociaż powieki same mu opadają, myśli się rozbiegają, a głowa ciąży ku blatowi stolika.

– Jesteś zmęczony.

To nagle stwierdzenie otrzeźwiło go.

– Powinam o tym wcześniej pomyśleć i odesłać cię do domu – ciągnęła Ella. – Sam powiedziałaś, że to twój pierwszy wolny weekend od miesiąca. – Wstała. – Chodź. Jeśli nie wybierasz się na festyn, odprowadzę cię.

Zamknęła przychodnię na klucz i ruszyli poprzez

mrok. Szum fal z plaży w dole mieszał się z dźwiękami muzyki dobiegającymi z drugiej strony miasteczka, gdzie trwał festyn.

– Czujesz zapach gardenii? Siaduję wieczorami na werandzie i upajam się nim.

– Sama?

Ella zatrzymała się i odwróciła do niego.

– Tak, sama. – W blasku półksiężyca widział jej ściągnięte brwi. – Brianna idzie spać o siódmej, a pani Carter ogląda wieczorami telewizję.

– Nie miałem na myśli Brianny ani pani Carter. Myślałem o ojcu Brianny. Jesteś młodą, atrakcyjną kobietą. Nawet jeśli jego nie ma już w twoim życiu, to musi być ktoś inny.

Odwróciła się, wyraźnie wzdrygnęła, a potem ramiona jej opadły. Ruszyła dalej, powłócząc nogami.

– Nie wiem, kim jest ojciec Brianny – powiedziała z takim przygnębieniem w głosie, że uległ wreszcie pokusie, zrównał się z nią i otoczył ją ramieniem.

– Przepraszam – wyszeptał, chociaż nie wiedział, za co. Może za podejrzenia, które wywołało to szokujące oświadczenie. A potem przyciągnął ją do siebie.

Stali tak przytuleni wieczność całą, choć wiedział, że to tylko sekundy. Potem Ella wyzwoliła się z jego objęć, odwróciła i ruszyła przed siebie, a jemu zaroilo się w głowie od nieproszonych myśli.

Nie wie, kim jest ojciec jej dziecka?

Czyżby Ella postanowiła dowieść, że bliźniaczki słusznie miały w miasteczku złą opinię?

Z pewnością nie była puszczańska, kiedy tu mieszkał. Szok, jakim zareagowała wtedy na plaży, kiedy dotknął jej piersi, był bez wątpienia autentyczny. Ale od tamtego czasu upłynęło dwanaście długich lat...

Snując te rozważania, wszedł bezwiednie za Ellą na werandę, a następnie do ciemnej sieni.

– Nie idziesz do Sary?

To zadane szeptem pytanie przywołało go do rzeczywistości.

– Och, przepraszam! Zamyśliłem się!

Chciał zawrócić, ale Ella dotknęła jego ramienia.

– Przez kuchnię będziesz miał bliżej – powiedziała cicho i nie cofając ręki, poprowadziła go przez ciemny dom. Zapaliła światło dopiero w kuchni.

Była blada, oczy miała podkrążone.

– Taka jestem zmęczona, że jak się zaraz nie położę, to zasnę na stojąco. Ty w bungalowie możesz wyspać się do woli, ale Brianna i Pete wstają skoro świt. O piątej rano są już na nogach.

Dawała mu do zrozumienia, że chce zostać sama. Powinien pożegnać się i wyjść.

Ale nie mógł oderwać oczu od kosmyka włosów, który bezskutecznie próbowała odgarnąć z czoła. Wyciągnął rękę i pomógł jej zatknąć go za ucho.

– Dobranoc, Ella – szepnęła.

– Dobranoc, Nash – odszepnęła, a potem wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. – Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

Wszedł i ruszył ścieżką prowadzącą do bungalowu wyciągniętym, zdecydowanym krokiem, bo zdawał sobie sprawę, że jeśli szybko nie znajdzie się

jak najdalej od Eli, to zawróci i pocałuje ją wcale nie w policzek...

Ellę, tak jak to było do przewidzenia, wyrwał o świcie z głębokiego snu chichot dwojga dzieci. Kotłowały się pod jej łóżkiem chyba ze wszystkimi trzema psami.

– Ojej, ojej, pod moim łóżkiem są potwory! – zawołała z udawanym przerażeniem. – Co ja mam robić? Kto mi pomoże?

– Ja ci pomogę!

Z kryjówki wyczołgała się Brianna z drewnianą szabelką w dłoni, stanęła z marsową miną nad Ellą, a potem przykucnęła i przecięła szabelką na oślep przestrzeń pod łóżkiem. Wrzask bólu nie pozostawiał wątpliwości, że Pete nie zdążył się uchylić.

Ella wyskoczyła z łóżka i uknęła na podłodze. Wyobraźnia podsuwała jej czarne wizje obrażeń, które mógł odnieść, z wyływającym okiem włącznie.

– Chodź tu, Pete, ona nie chciała ci zrobić krzywdy. To była tylko zabawa.

Zagłędała pod łóżko, próbując wywabić stamtąd zawodzącego chłopczyka.

– Coś się stało?

Zaskoczona Ella zapomniała, że trzyma głowę pod łóżkiem i prostując się, uderzyła potylicą o krawędź. Jęknęła i obejrzała się. W progu stał Nash w wypłowiałych granatowych bokserkach.

– A ty co tu robisz? – wyrzuciła z siebie, jedną ręką wyciągając spod łóżka Pete'a, drugą usiłując przygładzić potargane włosy.

– Wracam właśnie z plaży i wpadłem się pożegnać. Wyjeżdżam po śniadaniu – powiedział jakimś słabym, sam nie wiedział dlaczego, głosem. – Zabieram do miasta mamę. Znaczący, jedziemy jej samochodem. Zna Charliego, mojego kolegę ze studenckich czasów, i chciała zobaczyć jego wystawę.

Z miny Elli wynikało, że nie bardzo go rozumie, ale płacz Pete'a przybierał na sile i nie było czasu wyjaśniać, czym zajmuje się Charlie ani o jaką wystawę chodzi.

– Krew mu leci – powiedział, dopiero teraz zauważając zakrwawioną dłoń Pete'a.

– Brianna uderzyła go niechcący szabelką – wyjaśniła Ella.

Nash spojrział na przestraszoną dziewczynkę, która stała pod ścianą, dzierżąc w dłoni drewnianą szablę.

– Chodź, Pete, to nic takiego – ciągnęła Ella, biorąc malca na kolana. Spod łóżka wypełzły dwa psy i z podwiniętymi ogonami wymknęły się z pokoju. Trzeci też wylazł i zasłonił własnym ciałem Briannę, wyraźnie gotów jej bronić, gdyby okazało się to konieczne.

Pete przestał płakać. Ella wytarła mu ramię swojej piżamy małe rozcięcie na czole, obnażając przy tym sporą połąć ciała, po czym zabrała dzieci i wyszła.

A Nash stał dalej w progu swojego dawnego pokoju, wpatrując się w rozgrzebane łóżko i wdychając zapach, który od wczoraj zmienił swój aromat. Matka szykuje już pewnie śniadanie, a potem pojedą do miasta. Wernisaż Charliego zaczyna się dopiero o piątej, a więc zdąży jeszcze wpaść do Karen...

Nie, nie wpadnie do niej. Nie potrafiłby udawać, że nic się nie stało, że w jego życiu nic się nie zmieniło.

A zmieniło się coś?

Tak, ale nie wiedział jeszcze co. Przed konfrontacją z Karen musi zebrać myśli, przygotować się dobrze do tej rozmowy.

Pokręcił głową. Co go naszło?! Lepiej nie myśleć! Zawiezie matkę do tego nowego centrum handlowego, które chciała zwiedzić, pochodzą po sklepach, zjedzą lunch, zadzwoni do Karen i umówi się z nią na wernisazu Charliego. Tak trzeba...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wczesnym wieczorem, kiedy Ella wyszła na werandę, żeby odprowadzić do samochodu Josha i Pete'a, zadzwonił telefon.

– Dałaś już ogłoszenie, że poszukujesz współnika?

Sara!

Ella odsunęła słuchawkę od ucha i spojrzała na nią ze zdziwieniem. Czegoś tu nie rozumiała.

– Jak mogłam dać ogłoszenie, skoro nie wiem jeszcze, czy sprzedasz mi tę praktykę?

Sara zachichotała. Można było odnieść wrażenie, że jest lekko wstawiona.

– No to nie dawaj – podjęła po chwili. – Przynajmniej na razie. Znalazłam wspaniałego lekarza, który popracuje z tobą przez święta, a potem jeszcze raz przedyskutujemy sprawę.

Elli serce się ścisnęło. Czyżby Sara znalazła kogoś, kto jej zdaniem lepiej poprowadzi praktykę w Eden-vale?

Zdeprymowana, wybąkała coś niezrozumiałego, pożegnała się i rozłączyła. Poniewczasie uprzytomniła sobie, że nie zapytała, od kiedy ten brylant ma rozpocząć pracę. Nad miasteczkiem wisiała groźba wybuchu epidemii zapalenia opon mózgowych i na

gwałt potrzebowała kogoś do pomocy, ale wydawało się mało prawdopodobne, żeby Sara w tak krótkim czasie znalazła bezrobotnego lekarza gotowego zacząć pracę od samego rana.

Sara była właścicielką praktyki i miała wszelkie prawo zatrudnić drugiego lekarza, to jednak nie zmieniało faktu, że Ella czuła się dotknięta.

Niedługo po telefonie Sary zadzwonił Rick i powiedział, że ma już wyniki badań Carrie i że chorobę wywołał u niej szczep grupy C. To z jednej strony ułatwiało sprawę, z drugiej ją utrudniało. Ułatwiało, bo na ten typ zapalenia opon mózgowych istniała szczepionka, utrudniało, bo trzeba było zaszczepić w pierwszym rzędzie dzieci, a potem tylu dorosłych, ile się tylko da.

Ella usiadła przy biurku i spisała listę spraw do załatwienia, którą otwierał punkt przypominający o konieczności powiadomienia ministerstwa zdrowia. Ledwie się położyła, znowu zadzwonił telefon. Starszy wiekiem pacjent cierpiący na dusznicę miał atak choroby, a zapomniał, gdzie schował tabletki. Wzięła lekarstwo z przychodni, pojechała do niego i została do czasu ustąpienia objawów. I tak, zanim znalazła się z powrotem w łóżku, upłynęły dwie godziny.

W związku z powyższym w poniedziałek rano półprzytomna wlokła się do kuchni, żeby rozbudzić się kawą. Już z korytarza usłyszała przejęty głosik Brianny.

– I dlatego braciszek tej dziewczynki zachorował na różyczkę – podsumowała Brianna, kiedy Ella otwierała drzwi.

Dlaczego Brianna wyjaśnia to pani Carter, która zna tę książeczkę na pamięć? – przemknęło jej przez myśl. Mniejsza z tym. Wymruczała pod adresem domowników ogólne „dzień dobry” i skupiając wzrok na czajniku, poczłapała w kierunku kuchenki.

Brianna przywitała ją, obejmując za kolana, pani Carter posłała jej karcące spojrzenie.

– Po co się już zerwałaś? Słyszałam, jak wracałaś późną nocą i specjalnie wcześniej wstałam, żeby zająć się Brianną.

Ella skoncentrowała się na parzeniu kawy.

– A ja mógłbym dzisiaj wziąć za ciebie poranny dyżur w przychodni.

Ella odwróciła się na pięcie. Jak to możliwe, że minęła Nasha i go nie zauważyła?!

– Mógłbyś wziąć za mnie poranny dyżur? – powtórzyła za nim osłupiała. – A co ty tu w ogóle robisz?

Uśmiechnął się.

– Pracujemy od dzisiaj razem – rzekł beztrósco.

– Jak to?

– A tak to.

Znowu uśmiech.

– Klamka zapadła. Omówiłem wczoraj wszystko z właścicielką przychodni.

Ella nie wierzyła własnym uszom.

– Przecież nie chcesz pracować w Edenvale – wybąkała płaczliwie. Boże, jak ona nie znosi beks! Co się z nią dzieje?

Nie odpowiedział, uniósł tylko brwi i mogłaby przysiąc, że dostrzegła w jego oczach rozbłysk satysfakcji.

Zapomniała o kawie, wyszła bez słowa z kuchni i pomaszerowała do łazienki, żeby wodą i mydłem zmyć podejrzenia, jakie jej się nasuwały.

Czyżby chciał ją skontrolować? Pracując w przychodni oszacować, jaki dochód przynosi?

Nie, bzdura – o to mógłby przecież zapytać matkę.

A może podejrzewa, że matka jest przez nią oszukiwana? I chce sprawdzić, czy w księgach rachunkowych wszystko się zgadza?

Mydło i woda nie pomogły. Pytanie, które w pierwszym rzędzie powinna zadać, przyszło jej do głowy dopiero, kiedy ubrana do pracy – w skromne spodnie rybaczki, skromną bluzkę i z włosami zebranymi w skromny kok – szła z powrotem do kuchni.

No dobrze, matka zatrudniła go jako drugiego lekarza, ale dlaczego je śniadanie w jej, Elli, kuchni?

– Nash powiedział, że odwiezie mnie do przedszkola. Poszedł tylko po swoje lekarskie rzeczy do sypialni. Wiesz, że Nash mieszkał w tym domu, kiedy był taki mały jak Pete? Był synkiem Sary. Wiedziałaś o tym? – trajkotała Brianna, wyraźnie zachwycona swoimi odkryciami.

Ella spojrzała ze zgrozą na Nasha, który wszedł w tym momencie do środka ze stetoskopem w jednej i wytartą torbą lekarską w drugiej ręce.

– Będziesz tu mieszkał? W tym domu? – wykrztusiła bliska hysterii.

Nash ściągnął brwi.

– Myślałem, że wiesz. Mama powiedziała, że chcesz mieszkać z drugim lekarzem, bo w ten sposób będzie wam łatwiej dzielić między siebie wizyty po

godzinach. Powiedziała... Zakładałem... Przepraszam. – Nash był wyraźnie zakłopotany.

Z satysfakcji, którą z tego powodu w pierwszej chwili odczuła, nic nie zostało, kiedy uświadomiła sobie, że Nash będzie mieszkał w jej domu, korzystał ze wspólnych pomieszczeń, zasiadał z nią do posiłków...

– Musimy już iść, bo się spóźnię!

Głosik Brianny przywołał Ellę do rzeczywistości.

– Tak, tak, kochanie, jestem już gotowa.

Akurat! Nie zjadła jeszcze śniadania, nie zdążyła się oswoić z tą olbrzymią zmianą, jaka zaszła właśnie w jej życiu, nie...

– Nie, Nash mnie odwozi. Daj buzi na drogę.

Machinalnie wzięła dziewczynkę na ręce, pocałowała i przytuliła.

– Bądź grzeczna i nie zapomnij zapiąć pasa bezpieczeństwa.

Pełna obaw, których nie potrafiła wyrazić, spojrzała ponad główką Brianny na Nasha.

– Jestem rozważnym i ostrożnym kierowcą – zapewnił ją z powagą.

Ella postawiła Briannę na podłodze i z mieszanymi uczuciami patrzyła, jak dziewczynka ufnie wyciąga rączkę do Nasha McLarena.

Podejrzenia podejrzeniami, musiała jednak przyznać, że nie wie, jak by przebrnęła przez ten upiorny dzień, gdyby nie Nash. Nie powiedziała mu tego jeszcze, ale powie. Siedziała teraz w swoim gabinecie z nogami na biurku, zbierając siły, żeby wstać, wyjść

i podziękować personelowi za wykazanie się wspaniałą postawą.

Nash od początku się jej podporządkował i bez dyskusji pojechał z pielęgniarką Carol do przedszkola szczepić dzieci nie tylko z grupy Carrie, ale i młodsze, tak więc wszystkich przedszkolaków, wychowawczynie i personel pomocniczy przedszkola mieli już z głowy.

Marg, druga rejestratorka, chociaż sama pracy miała w bród, starała się jak mogła zastępować nieobecną Carol w gabinecie zabiegowym, natomiast ściągnięta z powrotem na dyżur Kate spędziła cały dzień przy telefonie, wydzwanając do ministerstwa zdrowia, hurtowni farmaceutycznych i lokalnych władz. Prosiła, wyjaśniała, robiła, co w jej mocy, by wyżebrać jakąkolwiek pomoc dla zagrożonego miasteczka.

– Kate mówi, że stwierdziłaś trzeci przypadek zapalenia opon mózgowych, ale nie związany z dwoma poprzednimi.

Ella, czerwieniąc się ze wstydu, czym prędzej ściągnęła nogi z blatu. Co musiał sobie pomyśleć, widząc ją w tej pozycji za biurkiem swojego ojca?

– Tak, jest nowy przypadek. U czternastoletniego chłopca, który, o ile mi wiadomo, nie miał kontaktu z żadną z dziewczynek. Niepokoi mnie podatność na tę zjadliwą chorobę nastolatków od czternastego do dziesiętnastego roku życia. Z tego, co czytam i słyszę, wynika, że właśnie w tej grupie wiekowej powikłania są najgroźniejsze i mogą prowadzić do śmierci. Zamówiłam dostawę szczepionki i jutro z samego

rana zaczynamy szczepić wszystkich uczniów szkoły średniej. Zdzwoniłam do agencji i poprosiłam o jeszcze jedną pielęgniarkę. We dwie powinny sobie poradzić.

Nash przysunął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem, składając na oparciu przedramiona, a na nich brodę.

– A ryfampicyna?

Ella westchnęła.

– Chcę ją podać każdemu, kto miał jakąkolwiek styczność z tą ostatnią ofiarą. Nazywa się Rhys Carter i jest wnukiem pani Carter. Lokalna stacja radiowa dała mi pięciominutowe okienko przed wiadomościami. Wyjaśnię, co się dzieje, i poproszę tych, którzy mieli kontakt z Rhysem, żeby zgłosili się do przychodni o siódmej wieczorem, a dostaną za darmo ryfampicynę. Jeff sprowadził już nowy transport, a więc powinno starczyć dla wszystkich.

– Jeśli Rhys był na wczorajszym festynie, to rzecz dotyczy całego miasta – zauważył Nash. – Nie obawiasz się tego nagłaśnić?

Nash nawiązywał do oblężenia, jakie przeżyli w sobotni wieczór. Dzisiaj mogą tu utknąć do północy!

Ella uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Wiem, że znowu może wybuchnąć panika, ale sądzę, że to najwyższa pora. Nie na wywoływanie paniki, lecz...

Urwała i wzruszyła ramionami.

Nash pokiwał głową.

– Masz rację – powiedział. – Co planujesz?

– Abdykuję ze stanowiska planistki – oznajmiła.
– Kate obsztorcowała tylu ludzi z ministerstwa zdrowia, że przysyłają do nas jednego ze swoich najlepszych epidemiologów, Ricka Martina. Zajmuje się na co dzień przyczynami, skutkami i kontrolą ognisk epidemii, zwłaszcza zapalenia opon mózgowych. Będzie tu rano. On nam powie, co robić.

Nash ściągnął brwi.

– Skoro przyjeżdża, to czy nie lepiej by było, żeby to on wystąpił na antenie?

Ella znowu się uśmiechnęła, tym razem drwiąco.

– Na wypadek, gdyby chcieli zlinczować zwiastuna złych wieści?

– To też – przyznał Nash. – Ale przede wszystkim on lepiej wytłumaczyłby ludziom, co i jak. Przecież sama mówisz, że od niego będzie teraz wszystko zależało.

Ella po chwili zastanowienia pokręciła głową.

– Nie, chcę jak najszybciej podać antybiotyki wszystkim, którzy mieli kontakt z Rhysem. Tym, którzy stykali się z Jessie albo z Carrie, a jeszcze się do nas nie zgłosili, też. Rick będzie mógł wystąpić jutro w lokalnej telewizji, ale ja jeszcze dzisiaj wygłoszę w radiu ten apel.

– Podwiozę cię do rozgłośni.

Nash sam nie wiedział, czemu to zaproponował, ale Ella nie zaoponowała.

– Podziękuję dziewczynom za dobrą pracę, a potem wpadnę do domu zobaczyć, co u Brianny.

Ella wstała i podeszła do drzwi. W progu odwróciła się.

- Tobie też dziękuję, Nash. Bardzo mi pomogłeś.
- Cała przyjemność po mojej stronie – odparł skromnie, chociaż klucze igłą trzy-, cztero- i pięciolatków do przyjemności nie należało.

Nie wyniósł również żadnych przyjemnych wspomnień z przyjmowania starszych pacjentów Elli. Trzy minuty po wejściu do gabinetu starego Warburtona zorientował się, że ten przyszedł tylko szukać u niego potwierdzenia, czy Ella aby na pewno jest dobrym lekarzem. Stary cap!

Wyszedł za Ellą do poczekalni. Dziękowała jeszcze personelowi i żegnała się.

- O której jesteś umówiona w rozgłośni radiowej?
- spytał, kiedy zostali sami.

Spojrzała na zegarek.

- Za czterdzieści minut. To w centrum miasteczka, naprzeciwko plaży. Mam jeszcze czas, żeby wpaść do domu, wziąć prysznic i trochę się odświeżyć.

- To tylko radio, nikt nie będzie cię widział – przypomniał jej.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Nie – przyznała – ale będzie mnie czuł redaktor prowadzący program. Lepiej się od potu.

Nash też się uśmiechnął, odebrał jej klucze, otoczył ramieniem i poprowadził do drzwi.

- Nash! Nash! Czekam na ciebie i czekam.

Brianna zbiegła z werandy i popędziła im na spotkanie.

- Jutro moja kolej na Pokaż i Opowiedz, i powiedziałam wychowawczyni, że przyprowadzę ciebie.

– Coś takiego! To oni bawią się jeszcze w Pokaż i Opowiedz?

Nash adresował to pytanie do Elli, która przykucnęła, żeby pocałować Briannę.

– Tak – odparła, a potem, zwracając się do Brianny, powiedziała: – Ale przecież na Pokaż i Opowiedz nie przyprowadza się ludzi. Przynosi się przedmioty.

– A Kirsty przyprowadziła brata ze złamaną nogą – odparowała Brianna i znowu spojrzała na Nasha. – Powiedziałam, że jesteś synkiem Sary i wszystkie dzieci chcą cię zobaczyć. No wiesz, z powodu ogrodu.

– Nie widziałeś jeszcze ogrodu swojej matki, prawda? – spytała Ella, czytając z miny Nasha, że ten nie ma pojęcia, o czym mówi Brianna. – Sara przekształciła go w specjalne miejsce zabaw dla dzieci i zaprasza tam od czasu do czasu wszystkich przedszkolaków. W głębi stoi statuetka małego chłopca i dzieci nazywają go synkiem Sary.

– Ale niekoniecznie przedstawia mnie – powiedział cicho. – Jak znam mamę, to bardziej prawdopodobne, że chciała w ten sposób upamiętnić Russella... z czasów kiedy był młody i zdrowy.

Wychwyciła w jego głosie smutek, ale ani odrobiny gniewu. A przecież bezpośrednio po śmierci Russella był tak wściekły, że miał pretensję do Meg, że zabiła mu brata.

– Depresja maniakalna to coś strasznego – powiedziała łagodnie. – Zawsze uważałam ją za formę nowotworu, bo nie ma na nią lekarstwa i pozostaje tylko nadzieja, że leki zneutralizują najgorsze jej przejawy.

Nash kiwnął głową i wrócił do poprzedniego tematu.

– Dlaczego dzieci nazywają tę statuetkę „synkiem Sary”?

– Na samym początku doszło do małego incydentu. Jakieś dziecko bawiło się za blisko statuetki i wychowawczynie zawołała, żeby uważało, żeby odsunęło się od synka Sary.

– I dlatego cała moja grupa chce teraz cię zobaczyć – wtrąciła się Brianna, chwytając go za rękę.
– Obiecuj, że przyjdiesz.

Ella weszła do domu wziąć prysznic, a Nash został na werandzie z mniejszą i młodszą jej wersją.

– Muszę przyjść na to Pokaż i Opowiedz koniecznie jutro? – spytał, przysiadając na schodkach. – Nie mogę kiedy indziej?

Brianna przyglądała mu się przez chwilę.

– A kiedy? – zapytała.

Uśmiechnął się. Tego dziecka nie da się tak po prostu zbyć.

– Może w środę. Jutro będę bardzo zajęty.

– W środę też możesz być bardzo zajęty. A Pokaż i Opowiedz trwa tylko dziesięć minut. Nasza pani ma taki zegarek z dużymi wskazówkami i z dzwonkiem, który dzwoni, kiedy te wskazówki najdą na siebie, i jak zadzwoni, to musisz przerwać.

– No dobrze, przyjdę jutro – ustąpił Nash.

Brianna rzuciła mu się na szyję, uściskała mocno, a potem wbiegła do domu podzielić się tą radosną wiadomością z panią Carter.

Nash odczekał chwilę, a potem wstał i obszedł dom, kierując się do bungalowu, by przywitać się z matką. W zaistniałej sytuacji kto wie, kiedy będzie miał po temu następną okazję.

Mijając kuchnię, usłyszał znowu głosik Brianny i przypomniał sobie uścisk jej pulchnych ramionek na szyi. Zrobiło mu się jakoś dziwnie. Do tej pory nie myślał o zostaniu ojcem.

Matki w bungalowie nie było, ruszył więc ścieżką prowadzącą w głąb ogrodu.

Najpierw zobaczył statuetkę chłopca, potem matkę, która na klęczkach zrywała z krzewu zeschnięte liście.

– Brianna powiedziała mi o statuetce, którą tutaj postawiłaś – zaczął, siadając na ławeczce pod krzewem białej róży. – To Russell?

Sara podniosła się z klęczek i popatrzyła na figurkę.

– Raczej nie – odparła, ale jakoś bez przekonania. – Zobaczyłam go w sklepie ogrodniczym i pomyślałam sobie, że by tu pasował. Dopiero w domu uświadomiłam sobie, że przyciągnął chyba moje oko, bo przypominał Russella.

Spojrzała znowu na statuetkę, ściągnęła brwi i po chwili pokręciła głową.

– Chyba nie. Często na niego patrzę i nie dostrzegam żadnego podobieństwa. To po prostu chłopiec i naprawdę tu pasuje. Przyznam ci się, że praca w ogrodzie pomogła mi w końcu pogodzić się ze śmiercią Russella. To moja terapia. Trochę spóźniona, ale lepiej późno niż wcale.

Przeniosła wzrok na Nasha.

– A ty nadal nie przeszedłeś nad tym do porządku dziennego?

Zastanowił się.

– Chyba już tak – przyznał. – Na początku dręczyło mnie poczucie winy. Byłem przecież jego starszym bratem. Powinienem był mu jakoś pomóc, zapobiec temu, nie dopuścić...

– To nie takie proste – wpadła mu w słowo matka, podchodząc i kładąc dłoń na jego ramieniu. Ten gest świadczył, że bardzo dobrze go rozumie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wrócił do dużego domu, wziął szybki prysznic i wyszedł na werandę, by poczekać tam na Elle.

Pojawiła się w spłóviałych, wytartych dżinsach opinających kształny tyłeczek i turkusowej bluzce podkreślającej powabne obłości górnej części ciała.

Co go naszło?! Miasteczku, w którym dorastał, grozi epidemia potencjalnie śmiertelnej choroby, a jemu w głowie uroda koleżanki po fachu!

– Zacznę chyba od tego, że ministerstwo zdrowia obiecało nam już pomoc i podjęliśmy wszelkie niezbędne działania mające na celu powstrzymanie dalszego rozszerzania się epidemii zapalenia opon, a potem wyjaśnię, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło i poproszę wszystkich, którzy mieli w zeszłym tygodniu bliski kontakt z trojgiem ofiar, o zgłoszenie się na kontrolne badania do lekarza.

Szli podjazdem do garaży za budynkiem przychodni, gdzie stały ich samochody.

– A o antybiotykach nie wspomniesz?

Ella zawahała się.

– Długo o tym myślałam i w końcu zdecydowałam, że poprzestanę na badaniach. Gdybym powiedziała o antybiotyku, ludzie przypuściliby szturm na przychodnię, tak jak wczoraj wieczorem, a ja jestem

przeciwna podawaniu antybiotyku bez wyraźnej potrzeby, bo to prowadzi do uodparniania się na jego działanie zarówno ludzi, jak i bakterii. Poza tym tego, co sprowadził Jeff, i tak nie starczy dla całego miasta.

Nash nie dostrzegał luki w tym rozumowaniu, z drugiej jednak strony zapach jej perfum rozpraszał go do tego stopnia, że zamiast o ryfampicynie, myślał o jędrnych kształtach Elli. Ale kiedy wsiedli do jego samochodu, to ona pierwsza pociągnęła nosem.

– Ładnie pachnie ta skóra! – zauważyła, sadowiąc się w miękkim fotelu. – Mój samochód śmierdzi zmokłym psem.

Nash zerknął na stojącą obok starą terenówkę. Ella s płaca pewnie nadal kredyt zaciągnięty na studia, a popadnie w jeszcze większe długi, kupując praktykę.

Ale mimo wszystko...

Odpędził tę myśl, zanim zdążyła się w pełni ukształtować, i wycofał samochód z garażu. Nie wszystkie kobiety myślą tak jak Karen, według której lekarze mają ugruntowaną pozycję w społeczeństwie i powinni to podkreślać stosownym ubiorem oraz samochodem, którym jeżdżą. Prawdę mówiąc, nie musiał oglądać tego samochodu. Jeden rzut oka na strój Elli wystarczał, by rozwiać wszelkie podejrzenia, że podziela poglądy Karen.

– Wiesz, chyba masz rację – odezwał się.

– Że nie chcę wspominać o ryfampicynie?

– Tak. Wczoraj wieczorem panika ogarnęła tylko przedszkole. Wyobrażasz sobie, co by to było, gdyby rozszerzyła się na całe miasto? – Spojrzał na nią z uśmiechem. – Kto jest teraz prezenterem w radiu?

– Tak jak dawniej Col Hampton – odparła, kiedy Nash skręcał na parking przed lokalną radiostacją. – Zupełnie się nie postarzał. A za moich czasów zbliżał się do trzydziestki, czyli teraz musi być po czterdziestce.

– Na pewno. – Nash okrążył samochód i otworzył przed nią drzwi.

Wysiadła z ociąganiem i znalazłszy się z nim oko w oko, zadała pytanie, którego wcale nie chciała zadawać:

– Po co tu przyjechałeś, Nash?

Uniósł brwi.

– Po co podrzuciłem cię pod radio?

– Nie, po co przyjechałeś do Edenvale i zatrudniłeś się w przychodni jako drugi lekarz. Zamierzasz przejąć praktykę, czy tylko nie dopuścić, żeby twoja matka sprzedała ją mnie?

– Jest jakiś szczególny powód, żeby rozmawiać o tym właśnie teraz? – spytał i zacisnął usta. – Masz zaraz wystąpienie przed mikrofonem.

Odwróciła się i ruszyła w stronę wejścia. Nie poszedł za nią. Ciepłe powitanie Cola trochę ją uspokoiło.

Przedstawił ją słuchaczom i powiedział, że ma im coś do zakomunikowania, a gdyby mieli w związku z tym jakieś pytania, to doktor Marsden odpowie na nie jutro, w trakcie porannej sesji telefonicznej.

– Porannej sesji telefonicznej? – powtórzyła jak echo Ella, kiedy wygłosiła już swój komunikat i Col przełączył nadajnik na wiadomości krajowe, dzięki czemu nie mogło jej usłyszeć całe Edenvale.

– Genialny pomysł, nie sądzisz? Wpadł mi do głowy zaraz po twoim telefonie. Urządzimy ją o szóstej rano.

– Tak, genialny – mruknęła Ella, spoglądając na zegarek. Było już po dziewiętnastej, a zapowiedziała, że od dwudziestej będzie przyjmowała w przychodni wszystkich chcących się przebadać. Wypadałoby przedtem coś przekąsić.

Nash czekał przed budynkiem, oparty o samochód.

– Nieźle wyszło.

– Słuchałeś?

– Nie powiedziałaś mi o tej sesji telefonicznej. Czy szósta rano to trochę nie za wcześnie?

– To pomysł Cola. Sama się o tym dopiero teraz dowiedziałam.

– Jeśli będziesz miała dzisiaj tylu pacjentów co w sobotę, to długo nie pośpisz.

Uśmiechnęła się.

– Tego się właśnie obawiam. Muszę coś zjeść przed dyżurem. Możesz mnie tu zostawić. Zamówię sobie coś w kafejce i wrócę piechotą.

– Mam cię zostawić? Dlaczego? Ja też muszę się posilić, bo idę na ten dyżur z tobą.

Popatrzyła na niego i pokręciła głową.

– Nie musisz. Wątpię, żeby ruch był taki jak w sobotę. Poradzę sobie.

– Gadanie. Masz drugiego lekarza do pomocy, a więc z tego korzystaj. Wsiadaj. Podjedziemy do Shastri, zjemy coś konkretnego i razem stawimy czoło nawale pacjentów. Wizyty domowe też biore dzisiaj na siebie. Ty musisz się wcześniej położyć, skoro wstajesz jutro o bladym świcie...

Ella zawahała się, ale on otworzył już przed nią drzwi samochodu. Ślinka napłynęła jej do ust na myśl o specjałach Shastri, i to zadecydowało. Kiedy jednak jechali do popularnej hinduskiej restauracji prowadzonej przez Shastri i jej rodzinę, do głowy przyszło jej znowu pytanie, na które Nash nie odpowiedział.

– Wiem, po co mi drugi lekarz – zaczęła – nie wiem tylko, dlaczego ty nim jesteś. I nie kręć. Musi być jakiś powód, z którego tu jesteś, Nash.

Odezwał się dopiero na parkingu przed restauracją, skąd roztaczał się widok na zatokę Edenvale i ocean.

– Może to jest ten powód – powiedział, wskazując szerokim gestem wspaniałą panoramę.

Wysiedli. Ella poklepała się po kieszeniach i zakląła pod nosem.

– Nici z kolacji – powiedziała. – Byłam taka zaaferowana tym wystąpieniem w radiu, że zapomniałam zabrać portfel.

– Postawię ci – zaproponował. – A jeśli cię to krępuje, to Shastri na pewno wyda ci jeden posiłek na tak zwaną kreskę.

– Nie zaciągam długów! – fuknęła Ella.

– No to umówmy się, że dzisiaj płacę ja, a ty zrewanżujesz mi się przy następnej okazji.

– A skąd u ciebie pewność, że będzie jakaś następna okazja?

– Stać, że przez najbliższy miesiąc pracujemy razem i w tym czasie na pewno trafi nam się niejeden pacjent, którego przypadek trzeba będzie przedyskutować. A gdzie najlepiej rozmawiać o takich sprawach, jeśli nie przy kolacji?

Kiwnęła bez przekonania głową i ruszyli do wejścia.

Fakt, że Nash nie odpowiedział, po co wrócił do Edenvale, utwierdził Ellę w przekonaniu, że jej podejrzenia są słuszne. I było jej bardzo przykro, że ją kontroluje, że w ogóle odczuwa taką potrzebę.

Kiedy jednak odetchnęła morskim powietrzem i poczuła we włosach chłodną wieczorną bryzę, wezbrała w niej taka miłość do miasteczka, w którym się wychowała, że postanowiła walczyć zażarcie o prawo pozostania tutaj – o prawo dorastania tu dla Brianny – z każdym, kto spróbuje jej tego prawa odmówić, czy to będzie Nash McLaren, czy całe miasto. I tak przeorganizuje swój budżet, żeby wygospodarować środki na zrewanżowanie się Nashowi. Niech sobie nie pomyśli, że jest skąpa.

Albo spłukana!

A była, ale to z powodu...

– Och, Ella, jak miło cię widzieć!

Shastri, której imię nosiła restauracja, uściskała Ellę na powitanie. Chodziły razem do szkoły i były przyjaciółkami. Ella odwzajemniła ten uścisk i odsunęła od siebie przyjaciółkę na długość wyciągniętych ramion.

– Co u ciebie? – spytała.

– Serif mi się oświadczył. – Shastri pokazała z dumą pierścionek zaręczynowy z rubinem otoczonym diamencikami.

– Przecież od początku miałaś wyjść za Serifa – zachnęła się Ella. – Ustalono to, kiedy oboje byliście jeszcze dziećmi, zanim twoja rodzina przybyła do Australii.

Shastri znowu się uśmiechnęła.

– O tak, ale małżeństwa nie zawsze zawierane są z miłości, prawda? Dla mnie cudowne jest to, że się w sobie zakochaliśmy. Ja w Serifie, a on we mnie.

Ella pokręciła głową.

– Nie wierzysz w miłość? – szepnął jej do ucha Nash, kiedy Shastri prowadziła ich do stolika na werandzie z widokiem na ocean.

– W miłość na zamówienie? Jak ta? – odszepnęła Ella, ale kiedy Shastri zostawiła ich z kartą dań, dodała: – Cieszę się razem z nimi, co nie zmienia faktu, że to jakieś dziwne.

– Dziwniejsze od innych sposobów zakochiwania się? – spytał Nash, spoglądając na nią znad menu.

Przypomniała sobie, jak zdejmował jej okulary i jak jeszcze przed tamtym pierwszym pocałunkiem wiedziała, że się zakochała...

Nie odpowiedziała więc – nie mogła odpowiedzieć – nie mogła też przestudiować menu, bo torebkę z okularami do czytania i pieniędzmi zostawiła w domu.

Odsunęła kartę dań od siebie, ale nic to nie pomogło. Odłożyła ją więc z postanowieniem, że poprosi Shastri, by sama jej coś poleciła.

– Jeśli chcesz, to przeczytam ci na głos – zaproponował Nash, uśmiechając się tak, jakby nie tylko pamiętał o jej kłopotach ze wzrokiem, ale wiedział również, w jaki dziwny sposób się zakochała.

Przez cały posiłek omawiali taktykę na następną rundę walki z szerzącą się epidemią, a kiedy wrócili

do przychodni – gdzie na posterunku trwała niezmordowana Kate – pacjentów było już tyłu, że nie było warunków na kontynuowanie tej rozmowy.

– Nie stwierdziłem żadnych nowych przypadków – oznajmił Nash, kiedy ostatni pacjent w końcu wyszedł.

Ella kiwnęła głową.

– Dzięki Bogu, ja też nie.

– Kawy? – zapytała Kate.

– Ja dziękuję – westchnęła Ella. – Z samego rana muszę być w rozgłośni, a przez cały dzień nie wyprowadzałam psów. Zrobię z nimi rundkę wokół przylądka i idę spać. Ale Nash może się napije. – Spojrzała na niego. – Kate ma klucze i może zamknąć, tobie też powinnam dać komplet na wypadek, gdybyś podczas nocnego dyżuru potrzebował czegoś z apteczki. Wierzyć mi się nie chce, że jesteś tu już cały dzień, a ja nie pokazałam ci jeszcze, gdzie co leży.

– To nie był zwyczajny dzień – zauważył – a za kawę też dziękuję. Jeśli nic nie stoi na przeszkodzie, wolałbym się z tobą przejść. Po tym młynie, jaki tu mieliśmy, świeże powietrze dobrze mi robi.

Kate wydeła wargi, jakby chciała bezgłośnie gwizdnąć, a Ella spiorunowała ją wzrokiem. Najchętniej powiedziałaaby Nashowi, że nie życzy sobie jego towarzystwa na spacerze, ale przylądek jest własnością publiczną i może sobie po nim chodzić, ile i kiedy chce.

Z tym, że najlepiej się tam nie pokazywać, kiedy ona odpoczywa!

I znowu ruszyli ramię w ramię podjazdem w kierunku domu, tylko że tym razem w milczeniu.

Kiedy zbliżyli się do werandy, gwizdnęła i psy wybiegły z domu. Skierowała się do bocznej furtki.

– Nie trzeba im założyć kagańców?

– Nie w tym stanie – odparła Ella. – To stary przepis i nadal w Queenslandzie obowiązuje. Nie wiem, czy gdzie indziej też.

I na tym temat się urwał. Szli obok siebie jak kiedyś, kiedy byli nastolatkami, tylko że wtedy trzymali się za ręce i zatrzymywali od czasu do czasu, żeby się pocałować. Niedługo po ich pierwszym pocałunku Nash uświadomił sobie, że całowanie się jest dla Elli czymś nowym.

– Spotykałeś się nadal z Lisą?

Zaskoczyło go to pytanie.

– Była z twojego rocznika, w tym samym roku poszła na uniwersytet, chodziłeś z nią tam?

Nash wyteżył pamięć. Na pierwszym roku studiów chodził z wieloma dziewczętami, ale z żadną na poważnie.

– Widywałem ją czasami, ale trudno to nazwać chodzeniem. Czemu pytasz?

Spojrzała na niego z uśmiechem.

– Po przyłasku spacerowałam zawsze wieczorami albo sama, albo z tobą. Chyba wspomnienia podsunęły mi to pytanie.

Uśmiech uśmiechem, ale oczy miała smutne. Coś chwyciło go za serce. A ponieważ nie chciał, by jego relacje z Ellą podszyte były emocjami, stłumił je i przeszedł do ataku.

– Nie spacerowałaś tu z Jeffem? Nie całowałaś się tu z nim?

Wzruszyła ramionami.

– No wiesz! – Gwizdnęła na psy, odwróciła się na pięcie i wyciągniętym krokiem oddaliła w kierunku domu.

Dogonił ją jednak z łatwością, chwycił za ramiona i obrócił twarzą do siebie. Nie zaprotestowała.

Pochylił głowę i pocałował ją. Z pasją. Czas się cofnął, znowu miał osiemnaście lat i całował Ellę na przylądku w blasku księżyca, a wiatr od morza chłodził ich rozpalone ciała.

Kiedy wstał nazajutrz, Elli już nie było, ale pani Carter słuchała radia i orzekła, że Ella w rozmowach telefonicznych z radiosłuchaczami jest lepsza od większości radiowych wyg, które mają o sobie wielkie mniemanie i zarabiają krocie.

– Ale żał mi się jej zrobiło, kiedy pytania zeszyły na sprawy osobiste – dodała pani Carter, nakładając mu na talerz jajecznicę z dwóch jajek z porcją bekonu, którym nasyciłby się pluton wojska. – Ktoś zapytał, czy nie jest czasem córką Toma Marsdena i czy wyuczyła się na lekarza za pieniądze, które jej ojciec ukradł mieszkańcom Edenvale.

Nash zaklął pod nosem. Czy Ella często ma do czynienia z tego rodzaju napaściami?

– Co odpowiedziała? – spytał, sięgając po widelec.

– Że jest tam, w radiu, żeby odpowiadać na pytania dotyczące potencjalnie śmiertelnej choroby i żeby dzwoniący nie odbiegali z łaski swojej od tematu.

– Jak tu ładnie pachnie bekonem! – Do kuchni wpadła rozczochrana Brianna.

– Bekon je Nash – powiedziała pani Carter. – Ty masz na śniadanie płatki zbożowe.

– Ella daje mi czasami bekon. – Brianna spojrzała na niego z tak wystudiowanym błaganiem w oczach, że ręce same składały się do oklasków.

– No to odstąpię ci trochę – powiedział. – Zrobić ci kanapkę z grzanki?

Brianna przysunęła się do niego z krzesłem i poże-
rała wzrokiem zawartość talerza.

– Tak. I jajecznicy też troszkę połącz.

– Brianno!

Dziewczynka obejrzała się z uśmiechem na zgor-
szoną panią Carter.

– Tylko dzisiaj, pani Carter – poprosiła, unosząc jeden paluszek.

– Tak, tylko dzisiaj! Znam ja ciebie!

Ale gospodyni też już się uśmiechała.

Nash zrobił kanapkę, pokroił ją na cztery części i stawiał właśnie talerzyk przed Brianną, kiedy z we-
randy dobiegł tupot nóg.

– Kawy, pani C.

– Ella!

Brianna zerwała się z krzesła, podbiegła do drzwi
kuchni i przytuliła się do nóg Elli.

– Nash zrobił mi kanapkę z bekonem i jajecznicą
ze swojego śniadania.

Ella wzięła małą na ręce, pocałowała i spojrzała
ponad jej ramieniem na Nasha.

– Jak poszło? – spytał.

Wzruszyła ramionami i postawiła Briannę na podłodze.

– Jedz tę kanapkę, póki ciepła – powiedziała do dziewczynki.

Pani Carter naląła jej kawy i postawiła kubek na stole.

– Telefonów było co niemiara. Dzwoniła między innymi kobieta, której córka, uczennica szkoły średniej, ma wysypkę. Kazałam jej zgłosić się natychmiast do przychodni. Mieszkają pod miastem, pomyślałam więc sobie, że zdążę jeszcze napić się kawy.

– A śniadanie?! – spytał Nash.

– Nash zrobi ci kanapkę z bekonem – wtrąciła Brianna.

Ella uśmiechnęła się.

– Już jadłam. – Wzięła kubek i podeszła z nim do okna.

Sączyła kawę zamyślona i smutna. Czyżby przeżywała jeszcze napaść radiosłuchacza? Czy zdarzały się jej już takie incydenty?

A jeśli tak, to co ona, u licha, robi jeszcze w Edenvale? Dlaczego nie znajdzie sobie jakiegoś innego prowincjonalnego miasteczka, w którym nikt jej nie zna?

– Moje kanapki z bekonem nie mają sobie równych – powiedział cichym głosem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

No, nareszcie pacjent z jakimś namacalnym problemem, szkoda tylko, że noga Henry'ego Abbotta była paskudnie rozharatana, a rana na dodatek zainfekowana.

– I nie wpadło panu do głowy, żeby od razu z tym do mnie przyjść? – ofuknęła go Ella.

– Nie mogłem – padła lakoniczna odpowiedź. – Wycinaliśmy stare czerwone cedry w buszu, sześćdziesiąt kilometrów stąd. Energetycy ciągną tamtędy nową linię wysokiego napięcia.

Ella wprowadziła Henry'ego do gabinetu zabiegowego, prosząc po drodze Marg, żeby przysłała tam Carol.

– Znieczulę pana, a potem Carol oczyści ranę, żebyśmy widzieli, co i jak.

Pomogła Henry'emu ułożyć się na stole zabiegowym i zrobiła kilka zastrzyków znieczulających wokół rany.

– Piła łańcuchowa? – spytała, oglądając jej poszarpane krawędzie.

Kiwnął głową, a Ella wzdrygnęła się na myśl, jak mało brakowało, żeby to piekielne narzędzie odcięło mężczyźnie całą nogę.

Do pokoju weszła Carol. Ella zostawiła ją z pacjen-

tem i wróciła do swojego gabinetu, gdzie czekał na nią Nash.

– Przyszedłem cię uspokoić – oznajmił z szerokim uśmiechem. – Ta rzekoma wysypka u twojej pacjentki spod miasta to podrażnienie od brody.

– Podrażnienie od brody? – powtórzyła Ella.

– Tak się kończy całowanie z kimś, kto się od wielu godzin nie golił. Dziewczynka – nazywa się Kylie Wilson – albo nie zdawała sobie sprawy, że dziesięciogodzinny zarost adoratora może jej podrażnić skórę, albo bała się przyznać matce, że się z kimś całowała, zwała więc wszystko na zapalenie opon.

Ella zachichotała.

– Przyjmowałaś ją bez matki? Powiedziałeś jej, skąd to się wzięło?

– Bez pani Wilson? Raczysz żartować. Pani Wilson nie zostawiłaby swojej córeczki sam na sam z lekarzem mężczyzną. Zdiagnozowałem to jako zwyczajną wysypkę i kazałem smarować kremem do twarzy. Ale kiedy wychodziły, udało mi się odciągnąć Kylie na stronę i poradzić jej, żeby nie całowała się z nieogolonymi chłopakami.

Zadzwoił telefon na biurku, toteż Ella podniosła słuchawkę. Wychodząc, Nash słyszał, jak woła:

– Już jest! O jak to dobrze!

Chwilę potem wypadła z gabinetu, wyprzedziła go w poczekalni i rzuciła się na szyję wysokiemu blondynowi, który, sądząc po minie Marg, flirtował do tej pory z rejestratorką.

Ella cmoknęła faceta w policzek, wzięła go za rękę

i pociągnęła w kierunku Nasha, który stał w wejściu do poczekalni. Takiej uszczęśliwionej od przyjazdu do Edenvale jeszcze jej nie widział.

– Nash, to Rick Martin, specjalista z ministerstwa zdrowia. On teraz przejmuje dowodzenie!

No dobrze, to naturalne, że dziewczyna cieszy się z przyjazdu kogoś, kto weźmie na swoje barki ciężar odpowiedzialności, ale żeby zaraz takie poufałości?

Poufałości świadczące, że zna gościa!

I to dobrze!

Jest z nim za pan brat!

– Wszystko mamy udokumentowane – mówiła Ella, prowadząc obu mężczyzn do gabinetu. – Kate założyła pacjentom teczki i sporządziła listę tych, których już przebadaliśmy, tych, którzy zostali zaszczepieni wcześniej oraz tych, którzy mieli kontakt z trójką chorych dzieci.

Zwróciła się do Nasha.

– Mam pacjenta w zabiegówce. Mógłbyś wprowadzić Ricka w sprawę?

– Nie, ty to zrób, a ja zajmę się twoim pacjentem. Co mu jest?

– Zaciął się piłą łańcuchową. Zaaplikowałam mu znieczulenie miejscowe, a Carol oczyszcza teraz ranę – wyjaśniła zwięźle Ella, ale na jej twarzy malowała się niepewność.

– U siebie, na oddziale ratunkowym, mam na co dzień do czynienia z takimi przypadkami – zapewnił ją Nash, ale ta niepewność nie ustąpiła, czyli nie o to jej chodziło.

Przyjrzał się uważniej Rickowi Martinowi, ale

poza stwierdzeniem, że facet jest przystojny, niewiele mógł powiedzieć.

– Pacjent czeka – przypomniała mu Ella i wprowadziła Ricka Martina do swojego gabinetu.

Nash pamiętał Henry’ego Abbotta z dzieciństwa. Zszywając poszarpaną ranę, wspominał z nim stare dobre czasy. Potem przepisał pacjentowi antybiotyki i kazał wrócić za kilka dni na zmianę opatrunku.

Rick Martin był już z powrotem w rejestracji, gdzie przeglądał dokumentację i robił notatki.

Ella przyjmowała pewnie pacjenta. Nash chętnie by do niej zajrzał, choćby pod pretekstem poinformowania, że opatrywał już nogę Henry’emu, ale na niego też czekali pacjenci.

O pierwszej poczekalnia wreszcie opustoszała i Ella wyszła do rejestracji, w której pracował Rick.

Nash już tam był. Siedział przy biurku obok Ricka i studiował jego notatki.

– No i jaki werdykt? – spytała. – Są powody do paniki?

Rick podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się.

– Idziemy na lunch. Nash opowiadał mi, że na przylądku, zaraz za miastem, jest wspianała restauracja. Może tam?

Ella pokręciła głową.

– Lepiej poślę po kanapki i zjemy we trójkę tutaj, a ty powiesz nam, co dalej.

– Niech ci będzie – mruknął rozczarowany Rick – ale wieczorem na kolację ze mną pójdziesz! Do tej restauracji.

– A co z Brianną? Ona też chciałaby zjeść kolację z wujkiem Rickiem.

– Kocham to dziecko, Ella, naprawdę kocham. Dobrze wiesz. Ale jeść z dziećmi? Znasz mój pogląd na ten temat!

Aż za dobrze, pomyślała Ella i poprosiła Marg, by zamówiła im kanapki na lunch, a potem nalała sobie kawy. W dzbanku zostało jeszcze trochę dla Nasha, a Rick zawsze parzył sobie kawę sam ze świeżo zmielonych ziaren swego ulubionego gatunku.

Był wtorek i popołudniowy dyżur zaczynał się w przychodni dopiero o trzeciej, tak więc do drugiej trzydzieści opracowali we trójkę, pod kierunkiem Ricka, plan zaszczepienia wszystkich dzieci i młodzieży poniżej dwudziestego piątego roku życia.

– Tych trzeba wziąć na pierwszy ogień – powiedział Rick, podkreślając uczniów szkoły średniej i resztę dzieci poniżej piątego roku życia. – Zajmie się tym ministerstwo zdrowia. Postaram się ściągnąć tu jeszcze w tym tygodniu autobus z personelem i szczepionką. Dzisiaj wieczorem występuję w dzienniku lokalnej telewizji – załatwiła mi to wczoraj moja sekretarka – a ministerstwo da ogłoszenia do gazety. Macie już zapas szczepionki, a więc możemy powiadomić pacjentów.

Odsunął od siebie dokumenty, wstał i spojrział na zegarek.

– O trzeciej mam nagranie w telewizji. – Spojrział na Ellę. – Może poszłabyś ze mną?

Ella pokręciła głową.

– Idź lepiej sam – powiedziała. – Moje pojawienie się w telewizji mogłoby odstręczyć ludzi.

Rick uznał to widocznie za żart, bo się roześmiał, ale Nash wyłowił w głosie Elli ból i domyślił się, że wciąż przeżywa to, co usłyszała rano od agresywnego radiosłuchacza.

– Jak chcesz. No więc jak będzie z kolacją? Idziemy do tej restauracyjki na przylądku?

Nash spojrzał na Ellę, ciekaw jej odpowiedzi. Ona zaś westchnęła i obdarzyła gościa wymuszonym uśmiechem.

– Przykro mi, ale mam dziś wieczorem zebranie Ochotniczej Służby Kryzysowej. A ty zostajesz? Plan działania już mamy, więc po nagraniu możesz wracać do miasta.

– Chcesz mnie spławić, Ella? – spytał Rick z uśmiechem, ale Nash wychwycił w jego głosie zawód, a może nawet ból.

– To ty odszedłeś, Rick – zauważyła Ella, wstając. Pozbierała puste kubki i ruszyła z nimi do zlewu.

Rick podszedł tam za nią, na oczach Nasha objął ją w tali, szepnął coś do ucha, a potem pocałował w kark.

Ella pokręciła głową i odsunęła się od niego.

– Dziękuję ci, Rick. Bardzo nam pomogłeś.

Rick wrócił do stolika i pozbierał dokumenty.

– Gdyby zdarzył się następny przypadek, dajcie mi znać – powiedział do Nasha i Elli, po czym pożegnał się i zniknął za drzwiami.

Ella odwróciła się znowu do zlewu. Niemożliwe, żeby tak długo myła te kubki, pomyślał Nash. Coś ją zdenerwowało? A może płacze?

Wstał, wziął brudny kubek, który Marg albo Carol zostawiła pod ladą rejestracji, i podszedł z nim do zlewu. Ella nie płakała, ale tarła zawzięcie nieistniejącą plamę na kubku.

– Dawny przyjaciel? – zagaił Nash, siląc się na swobodny ton.

Ella odstawiła kubek, podeszła do stolika i zaczęła zbierać notatki, które zostawił dla niej Rick.

– To było w innym życiu – mruknęła, a Nash nie bardzo wiedział, czy to odpowiedź na jego pytanie, czy powiedziała to do siebie.

– Za którym tęsknisz? – spytał, zakładając, że te słowa skierowane były jednak do niego.

– Nie twój interes, Nash.

– Nie mój? Zauważ, że próbujesz namówić moją matkę, żeby sprzedała ci praktykę. Co zamierzasz? Poprowadzić ją jakiś czas, zbić kasę, a potem odsprzedać ją z zyskiem i wrócić do miasta do faceta, który wyraźnie bardziej dba o swój żołądek niż o ciebie? Do faceta, który nie ukrywa, że nie lubi dzieci? A co z pacjentami? Z ludźmi, którzy ci zaufali? Co z Edenvale?

Zdawał sobie sprawę, że przeholował, jakież więc było jego zdziwienie, kiedy Ella, zamiast odpowiedzieć mu w podobnym tonie, spojrzała na niego z najsmutniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widział.

– Wątpię, czy Edenvale by za mną tęskniło – rzekła cicho, a kierując się do drzwi, dodała: – A już Rickowi na pewno mnie nie brakuje.

Wybiegł za nią.

– Nie możesz mówić takich rzeczy i wychodzić – zaprotestował. – I nie rób takiej smutnej miny. Co się stało? Kochałaś go? Skrzywdził cię? Brianna jest jego córką? O to chodzi? On wyraźnie nie chce mieć dzieci. Postanowiłaś donosić ciążę wbrew jego życzeniom?

Ella spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, a potem ściągnęła gniewnie brwi.

– Słuchaj, Nash – wycodziła przez zęby. – To nie czas ani miejsce na taką rozmowę, a właściwie to ja w ogóle nie mam na nią ochoty. Moje życie, przeszłe czy obecne, to nie twój interes.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale w tym momencie zawyła syrena.

– Muszę lecieć – oznajmiła. – Będziesz musiał sam rozpocząć popołudniowy dyżur. Może to nic poważnego, na przykład pali się trawa, i nie będę potrzebna. W takim przypadku wrócę szybko.

Podeszła do biurka, postawiła na nim swoją czarną torbę lekarską, otworzyła ją i przejrzała szybko zawartość.

– Przecież to syrena Ochotniczej Służby Kryzysowej – zauważył. – Nie czekasz, aż cię wezwą?

– Jestem członkiem Służby – wyjaśniła. – Ochotników jest teraz tak niewielu, że przyjmują każdego, kto się zgłosi. – Uśmiechnęła się. – Nawet drobne, słabe, podszyte tchórzem kobiety. – I już jej nie było.

– Ella pobiegła na akcję? – spytała z rejestracji Marg, kiedy Nash wyszedł do poczekalni.

– Tak – odmruknął.

– Dobrze, że chociaż ty zostałeś. Będzie miał kto

przyjmować chorych. Normalnie to ona bierze udział tylko w nocnych akcjach, ale teraz jest okres przedświąteczny, sporo osób powyjeżdżało i ochotników można policzyć na palcach jednej ręki. Oczywiście, na sobotni festyn stawili się wszyscy. Do zabawy pierwsi, ale jak coś się wydarzy, to ich nie ma.

– Dlaczego ochotników jest teraz tak mało? – spytał Nash.

– Wielu starych członków, tych którzy zakładali Służbę Kryzysową, przeszło niemal w tym samym czasie na emeryturę. Potem osiedliło się tu sporo ludzi z dużych miast, gdzie takimi rzeczami zajmują się jednostki zawodowe. Owszem, dają pieniądze, przychodzą na festyny, na których zbierane są datki na działalność, ale do głowy im nie przyjdzie, żeby brać udział w cotygodniowych ćwiczeniach, albo wbijać się w mundur i wdrapywać na czyjś dach, żeby okryć go plandeką, kiedy zanoszą się na burzę.

– Mieszczuchy! – dorzuciła pogardliwie wchodząca do rejestracji Carol.

Poczekalnia powoli się zapełniała, trzeba się było zająć pacjentami.

Nash odprowadzał właśnie do drzwi cierpiącą na astmę panią Horowitz, kiedy do przychodni wpadła Ella w workowatym, jasnopomarańczowym mundurze Ochotniczej Służby Kryzysowej.

– To był pożar trawy na przylądku. Nie chciało mi się wracać na drugi koniec miasta po mój samochód, więc przyjechałam stamtąd ciężarówką prosto tutaj – wyjaśniała, ściągając z siebie gorący, ciężki kombinezon.

Potem usiadła na krześle w rejestracji, żeby zdjąć ciężkie buty.

– O cholera! Zapomniałam o swoich butach. Zostały w remizie.

– W dolnej szufladzie biurka masz „wyściowe” sandały – przypomniała jej Marg.

Ella podziękowała rejestratorce uśmiechem i zwróciła się do jednego z mężczyzn w poczekalni:

– Panie Grayson, jeżeli nie przeszkadza panu, że chwilowo jestem boso, to zapraszam do mojego gabinetu.

Ostatni pacjent opuścił przychodnię o wpół do szóstej.

– To rekord – zauważyła Marg.

– Co dwoje lekarzy, to nie jeden – powiedziała Carol. – Gdyby jeszcze udało nam się namówić Elle do zatrudnienia kogoś, kto zająłby się rachunkami i papierkową robotą, mogłaby kobieta pożyć wreszcie jak człowiek.

– To ona nie ma księgowej? – spytał Nash zdziwiony, bo nawet za czasów jego ojca, kiedy miasteczko było dużo mniejsze, cztery razy w tygodniu przychodziła kobieta prowadząca rachunkowość i wypłacająca tygodniówki.

Przed oczami stanął mu stary samochód, znoszone ubrania i znowu zastanowiła go sytuacja finansowa Elli. Czyżby z takim samozaparciem zbierała pieniądze na kupno praktyki?

Czyżby jej uraz do pożyczania wynikał z tego, że ojciec narobił kiedyś długów, a potem zdefraudował

pieniądze ze spółdzielczej kasy, by je spłacić? Taka przynajmniej krążyła w miasteczku plotka, bo zdaniem matki Nasha przyczyną powstania manka były bardziej nieodpowiedzialność i pijaństwo Toma Marsdena niż jego nieuczciwość.

Do poczekalni weszła Ella.

– To ja będę już leciała – powiedziała do Marg, zbierając z podłogi kombinezon i buciory. – A ty tu pozamykaj. O kurczę, trzeba wreszcie dać klucze Nashowi.

Ta ostatnia uwaga skierowana była do Carol, Nash równie dobrze mógłby nie istnieć.

– Jest tu gdzieś zapasowy komplet – wtrąciła Marg. – Zaraz poszukam.

– Nie trzeba. – Nash machnął ręką. – Mam klucze, mama mi dała. Wyjdę z tobą, Ella.

Tego właśnie Ella chciała uniknąć. Spotkanie z Rickiem przypomniało jej tamten straszny okres po tragicznej śmierci Meg. Dodatkowo wzburzyły ją propozycja Ricka, żeby znowu się zeszli, i pytania Nasha o jej prywatne życie. Jakby tego było mało, wszystko wskazywało na to, że Nash uważa Brianne za jej dziecko. Aż do tej pory sądziła, że Sara wszystko mu wyjaśniła.

Ale czy to w końcu takie ważne?

Potrząsnęła głową. Chyba nie. Bo i dlaczego miałyby być ważne?

– To poruszanie ustami i kręcenie głową oznacza, że rozmawiasz sama ze sobą?

Nash odebrał już od niej kombinezon, a teraz sięgał po buciory.

– Sama je poniosę! – warknęła. – Weźmiesz za mnie dzisiaj wieczorem te wizyty domowe? Zebranie nie potrwa chyba długo. Przed dziesiątą powinnam być z powrotem.

– A jak godzisz zazwyczaj wizyty domowe z zebraniem i akcjami Służby Kryzysowej?

– Przekierowuję wszystkie telefony na swoją komórkę i zjawiam się u pacjentów w całej tej pomarańczowej glorii.

Uśmiechnęła się na wspomnienie pani Cranston, która zapytała ją, dlaczego przyszła do niej przebrana za mężczyznę.

Rozmawiali o niczym – no, prawie o niczym – i Ella ciekawa była, czy Nash też ma tego świadomość.

Brianna czekała na nich na werandzie. Na jej widok Elli coś się przypomniało.

– Ach, właśnie, jak tam było z Pokaż i Opowiedz? Nash zatrzymał się i spojrzął na nią.

– Myślę, że z punktu widzenia Brianny bardzo dobrze. A z mojego...?

Uśmiechnął się.

– W którymś miejscu odeszliśmy od tematu „synka Sary”. Przez Briannę, która oznajmiła wszem wobec, że mieszkam teraz z nią i z tobą, jak na prawdziwego tatusia przystało.

Ellę zamurowało, fala gorąca uderzyła jej do głowy.

– Tak było, nie zmyślam! – Nash wszedł po schodkach na werandę, położył kombinezon Elli na krzesło, podrzucił Briannę w powietrze i wykręcił z nią pirueta.

A potem cmoknął ją w policzek, postawił na podłodze i odwrócił się do Elli, która stała jak słup soli przed schodkami.

– Sama zatem widzisz – powiedział, kiedy Brianna wybiegła jej na spotkanie – że w moim interesie jest dociekać, jakie masz plany na najbliższą przyszłość!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ella przebrnęła jakoś przez ten tydzień, a przynajmniej dobrnęła do piątkowego popołudnia. Starła się, na ile to było możliwe, unikać Nasha i każdą wolną chwilę spędzać z Brianną.

Jessie i Carrie miały się już dobrze, a Rhysa, o którego Ella najbardziej się obawiała, wypisano ze szpitala. Ekipa z ministerstwa zdrowia przez cały tydzień nieodpłatnie szczepiła w swoim autobusie setki dzieci, zaś rodzice, którzy nie chcieli czekać w kolejce, a było ich na to stać, przyprowadzali swoje pociechy na odpłatne szczepienie do przychodni.

W piątek ruch w przychodni był już niewielki, a więc Ella z czystym sumieniem zostawiła tam Nasha samego, odebrała Briannę z przedszkola i razem poszły do biblioteki, jednego z ulubionych miejsc dziewczynki.

Zostawiwszy siostrzenicę w świetlicy dla dzieci, skierowała się do działu archiwów, gdzie przechowywano między innymi kopie rocznych sprawozdań z działalności nieistniejącej już społecznej kasy oszczędnościowej. Od kilku tygodni kserowała systematycznie te dokumenty, ale z ich przestudiowaniem wstrzymywała się do czasu, kiedy będzie już miała komplet.

– Marg powiedziała, że cię tu znajdę. – Ella odwróciła się od kserokopiarki. Za nią stał Jeff Courtney. – Wpadłem zapytać, czy nie zjadłabyś ze mną dzisiaj kolacji.

Westchnęła i odwróciła stronę kopiowanego dokumentu.

– To chyba nie jest takie trudne pytanie – podjął Jeff. – Chodzi tylko o kolację. Bez obawy, nie zaciągnę cię w żadne odludne miejsce i nie zgwałcę.

– Co ja słyszę! – powiedział ktoś głębokim głosem.

Ella obejrzała się i zobaczyła stojącego za Jeffem Nasha.

– Dobrze, chętnie zjem z tobą kolację – zwróciła się do Jeffa.

– Obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie – wtrącił Nash. – Ja właśnie w tej sprawie. Dzwonił do ciebie koordynator Ochotniczej Służby Kryzysowej. Biuro prognoz przewiduje na przyszły tydzień, poczynając od niedzieli, obfite opady i burze, w związku z czym nocne ćwiczenia zostają przeniesione z poniedziałku na dzisiejszy wieczór.

Oparł się o ścianę obok kserokopiarki, założył ręce na piersiach i przyglądał się jej z przekornym uśmiechem.

Ella, starając się go ignorować, uśmiechnęła się do Jeffa.

– To może jutro? – zaproponowała.

Jeff zmarkotniał.

– Oj nie, jutro pracuję – odparł. – W szkołach zaczęły się ferie i wszystkie sklepy w mieście są dłużej otwarte, jak to przed świętami. Zanim podliczę

kasę i zamknę, będzie już wpół do dziesiątej, a może i później... No nic, może innym razem – mruknął na koniec i wyszedł niepokieszony, zostawiając Ellę samą na samą z kserokopiarką i Nashem.

– Nie zatrzymuję cię – zwróciła się Ella do Nasha.

– I tak nie mam nic innego do roboty – odparł ten irytujący człowiek. – Może ci pomóc?

– Nie trzeba, już skończyłam – burknęła. – Ale jeśli tak bardzo chcesz mi pomóc, to pójdz do świetlicy po Briannę.

– Wiesz, to może ty po nią idź. Ja nie wiem, gdzie to jest. A ja tymczasem odstawię na półkę twoje książki – zaproponował.

Bliskość Nasha, ta głupia, wymuszenie grzeczna wymiana zdań oraz obawa, że on odkryje, czym się zajmowała, wszystko to sprawiało, że Elli serce waliło jak młotem.

– Lepiej sama to zrobię. Bibliotekarze nie lubią, kiedy odstawia się książki nie tam, skąd się je wzięło.

Uniosła wieko kserokopiarki, zdjęła z płyty gruby raport, zamknęła go i położyła tytułową stronę okładki na stosie innych. Potem pozbierała kartki z tym, co skserowała, dźwignęła to wszystko i ruszyła wyściągniętym krokiem po Briannę.

Nash ledwie za nią nadązał. Zachowanie Elli już dawno wydawało mu się podejrzane. Zdarzyło się kilka razy, że kiedy wszedł bez pukania do jej gabinetu, ona pośpiesznie chowała do szuflady jakieś papiery.

W ślicznej główce Elli Marsden coś się kluje. Postanowił, że nie spocznie, dopóki nie ustalą co.

– Nash! – zawołała Brianna na jego widok. – Znalazłam książkę o jaskiniach! Wiesz, że w Edenvale są jaskinie? Ella oprowadziła mnie i Pete’a po tych dużych, ale powiedziała, że do mniejszych wolno nam będzie wchodzić, dopiero jak podrośniemy. Wiesz, że nasze jaskinie są z lawy... Ella, powiedz jeszcze raz, co to jest lawa.

Obejrzała się, pewna, że Ella stoi za nią, ale sprytna Ella wymknęła się nie wiadomo kiedy ze świetlicy, bez wątpienia by odnieść na miejsce książki, które kserowała.

– Lawa to taka gorąca substancja, która wypływa z wulkanów – wyjaśnił Nash, biorąc od Brianny książkę ze zdjęciami jaskiń.

– Przecież w Edenvale nie ma wulkanów – zauważyła dziewczynka.

– Ale były tu przed milionami lat – wyjaśniła Ella, stając znowu w drzwiach świetlicy.

Nash przyjrzał się jej uważnie. Zaczerwienione policzki, rozbiegane oczy. Tak, coś jest zdecydowanie nie tak.

Podeszli do biurka bibliotekarki i Brianna wypożyczyła swoją książkę.

– Jeśli chodzisz za nami, bo myślisz, że nie mamy czym wrócić – powiedziała Ella, kiedy wychodzili z biblioteki – to niepotrzebnie się fatygujesz. Jestem samochodem.

– Wiem – mruknął, chociaż wcale o tym nie myślał.

Prawdę mówiąc, to sam nie wiedział, dlaczego za nimi chodzi. Dlatego, że lubi być blisko niej?

- Też coś!
- Co powiedziałaś?

Mógłby przysiąc, że nie powiedział tego na głos...

– Zastanawiałem się, gdzie odbywają się te wieczorne ćwiczenia. Jeśli Służbie Kryzysowej brakuje ochotników, to może się na coś przydam, skoro już tu jestem. Mógłbym przekierować połączenia z telefonu stacjonarnego na swoją komórkę, tak jak ty to robisz. Podstawowe przeszkolenie przeszedłem. Szkolenie na helikopterach ratowniczych też.

Ella patrzyła na niego tak, jakby zaproponował jej taniec nago na głównej ulicy. Hm. Czyżby to też powiedział na głos?

– Nie wydaje mi się, żebyś tak z marszu mógł do nas dołączyć. Trzeba wypełnić niezbędne formularze, ubezpieczyć się i tak dalej. Za dwa tygodnie jest zebranie organizacyjne, na którym można by to załatwić, ale to musztarda po obiedzie, bo wtedy będziesz już na wylocie.

Plotła, co jej ślina na język przyniesie i, sądząc po rumieńcach, zdawała sobie z tego sprawę. Ale jednemu nie można było zaprzeczyć – przebywał w Edenvale czasowo i wkrótce stąd wyjedzie. To dawało do myślenia.

Szli w stronę jej samochodu. Podskakująca między nimi Brianna zadarła w pewnej chwili główkę, żeby spojrzeć na Elle. Coś w tym ruchu, a może w profilu dziewczynki, wydało mu się znajome.

– Ciekawe – powiedział. – Kiedy spojrzałem teraz na Briannę, to zupełnie jakbym zobaczył swoją mamę.

Ella zbladła, popatrzyła na niego dziwnie, a potem przeniosła wzrok na Briannę, tak jakby chciała się upewnić, czy to na pewno ona.

– Czy to możliwe?

Powiedziała to tak cicho, że Nash nie miał wątpliwości, że słowa te nie były przeznaczone dla jego uszu, ale co miały znaczyć?

Nie, niemożliwe, żeby Russell miał romans z Ellą. Dla niego istniała tylko Meg.

Ale Ella była do Meg ładząco podobna.

Czyżby zamieniły się rolami? Nie! Cokolwiek myśleć o Elli i Meg, takiego numeru Russellowi by nie wycięły.

A może Ella starała się go kiedyś pocieszyć po kolejnym odtrąceniu przez Meg?

Fizycznie?

No nie, chyba by to zapamiętała.

I znowu ścisnęło go w dołku na myśl o tym, że Ella miała tylu kochanków, że nie wie nawet, który z nich jest ojcem jej dziecka.

Szlag by to trafił...

Ella prowadziła, powstrzymując się całą siłą woli od zerkania co chwila przez ramię na Briannę i doszukiwania się podobieństwa.

To było pięć lat temu. Meg skończyła właśnie studia, podjęła pracę w klinice dla zwierząt na przedmieściach i marzyła o powrocie do Edenvale. Ona, Ella, miała jeszcze przed sobą rok studiów.

Czyżby Meg spotykała się wtedy z Russellem?

Ha, Russell zawsze się przy niej kręcił! Był w Meg

po uszy zakochany, której to miłości ona, choć może się starała, nie potrafiła odwzajemnić. Ale nie miała też serca mu powiedzieć, żeby dał jej spokój.

Czyżby Meg uległa w końcu i nie mogąc obdarzyć go miłością, postanowiła obdarzyć przynajmniej swoim ciałem?

Ella skręciła na podjazd i zatrzymała się przed schodkami. Otworzyła tylne drzwi, wzięła na rękę Briannę, która zdążyła już sama odpiąć pas bezpieczeństwa, i przyjrzała się z bliska dziewczynce.

Pokręciła głową. Nashowi coś się przywidziało. Kiedy jednak postawiła małą na ziemi i ta odwróciła się, by coś powiedzieć, zauważyła to coś, co wcześniej dostrzegł Nash. Spojrzenie Sary!

Wstępując za Brianną po schodkach, zastanawiała się, jaka burza by się rozpetała, gdyby okazało się, że dziewczynka jest wnuczką Sary.

Ktoś pozbawiony skrupułów mógłby to wykorzystać, podpowiadał głos wewnętrzny. Sara, dowiedziawszy się o czymś takim, mogłaby, niezależnie od obiekcji Nasha, odstąpić od zamiaru sprzedaży praktyki.

Ale przecież ona, Ella, przyjechała tu, by oczyścić nazwisko Marsdenów, a nie obrzucać je nową porcją błota.

Weszła z plikiem kserokopii do swojego pokoju i schowała je do starej, wypełniającej się powoli walizki Meg.

– Och, Meg – szepnęła, zamykając wieko. – Dlaczego nic nie powiedziałaś?

Ale przecież знаła odpowiedź. Meg marzyła o po-

wrocie z Brianną do Edenvale – ale dopiero po oddaniu pieniędzy i oczyszczeniu nazwiska Marsdenów. Bo tylko wtedy mogłaby się tu poczuć naprawdę szczęśliwa.

Może się jeszcze okazać, że prawda jest zupełnie inna, wmawiała sobie, wsuwając walizkę z powrotem pod łóżko. Ale ziarno podejrzania zostało już posiane.

Wzięła prysznic, przebrała się i wyszła do ogrodu. Sara z Brianną siedziały pod krzakiem róży, nieopodal statuetki chłopca, i zbliżając się do nich, Ella usłyszała, jak Brianna „czyta” Sarze swoją książkę o jaskiniach. Sara obejmowała dziewczynkę i patrzyła na nią z dumą i miłością.

– Nie widzisz tego?

Szept Nasha osadził ją w miejscu.

– Bzdura! – warknęła, odwracając się powoli. – Masz przywidzenia!

– Wykluczone. To niemożliwe, żebyś nie wiedziała, kim jest ojciec twojej córki! – odwarknęła. – Prawie mnie przekonałaś, ale od chwili, kiedy zauważyłem to podobieństwo, wiem, że kłamałaś. Wiem, że nie mogłaś zmienić się aż tak, żeby uprawiać seks z tyloma mężczyznami, i w efekcie nie potrafisz teraz powiedzieć, który z nich jest ojcem Brianny! Czy to Russell? Zrobiliście mu z Meg kawał? Podszyłaś się pod nią?

Urwał, a potem dodał przyciszonym, jedwabistym, złowróżbnym tonem:

– Albo wmawiałaś sobie, że Russell to ja?

Zbliżył się i Ella zdała sobie sprawę, że gdyby nie obecność jego matki i Brianny, pocałowałby ją – tak

samo namiętnie i żarliwie jak niedawno na przylądku. I jej głupie ciało naprawdę zapragnęło tego pocałunku, podczas gdy umysł, który zamiast szukać formy, w jakiej powinna mu wreszcie wyjaśnić, że Brianna jest dzieckiem Meg, zastrajkował i rejestrował tylko napięcie, jakie między nimi narastało...

Aż podskoczyła, kiedy w ciszę wdarło się wycie syreny, ale przypomniała sobie szybko, że to tylko ćwiczenia. Podbiegła do Sary i Brianny powiedzieć im, że musi już lecieć i przykazać Briannie, żeby była grzeczna.

– Dzisiaj nocuję u Sary – oznajmiła Brianna.
– Pani Carter jedzie odwiedzić Rhysa, a Sara powiedziała, że Nash zabiera cię na kolację, więc ja mogę zostać u niej. A rano będziemy robiły specjalne ciasteczka do powieszenia na choince, jak bombki, ale jadalne.

Patrzyła na Ellę błagalnie.

– Mogę?

Ella spojrzała na Sarę, która kiwnęła głową.

– Dzięki – szepnęła Ella.

Pochyliła się, pocałowała Briannę, a potem cmoknęła w policzek Sarę.

– Dziękuję – powtórzyła. – Za wszystko.

Wybiegała z ogrodu tak zaaferowana, że z faktu, że Nash depta jej po piętach, zdała sobie sprawę dopiero, kiedy usłyszała:

– Może pojedziemy moim samochodem?

Zatrzymała się jak wryta i odwróciła.

– Nie wiem, co naopowiadałeś swojej matce, ale na żadną kolację dzisiaj nie idziemy – wyrzuciła

z siebie. – Wiem, że jestem ci ją winna, i postawię ci, ale właśnie mam ćwiczenia. Nie słyszałeś syreny?

– Słyszałem, wiem, co oznacza i jadę z tobą. Rozmawiałem z Bobem. Mówi, że nic nie stoi na przeszkodzie. Bob jest komendantem Służby, prawda?

Ella najchętniej by go ugryzła, i to mocno. Jeszcze żaden mężczyzna nie działał jej tak na nerwy. Wściekła jak osa wpadła do domu, porwała swój kombinezon i buty i wypadła z powrotem na werandę.

– To jak będzie z tym samochodem? – zapytał Nash, ruszając za nią. – W moim ładnie pachnie skórzaną tapicerką.

– Nie jedziemy na wycieczkę, lecz do jaskiń – odparowała. – Ćwiczymy dzisiaj ratownictwo jaskiniowe, bo na święta zjeżdża tu zawsze mnóstwo grotolazów, a gdzie grotolazi, tam o wypadek nie trudno.

Otworzyła drzwi swojego wozu terenowego z napędem na cztery koła i wrzuciła do kabiny kombinezon i buty. Zesztywniała, kiedy Nash wyjął jej kluczyki z ręki i oświadczył, że poprowadzi.

Chciała mu wykrzyczeć w twarz, że to jej samochód i ona będzie prowadziła, ale uświadomiła sobie, że jest tak roztrzęsiona, że za kierownicą stanowiłaby zagrożenie dla innych uczestników ruchu drogowego.

Po dziesięciu minutach dotarli na miejsce. Większość ekipy już tam była. Wkrótce wybrano ją jednoznacznie na ofiarę wypadku.

– Jesteś najmniejsza i najłżejsza – argumentował Bob, wręczając jej kask ochronny z lampką na przodzie.

Ella przyjęła z pokorą tę rolę, włożyła kombinezon, wzięła buty i pierwsza spuściła się po linie do jednej z jaskiń. Jako ofiara nie będzie przynajmniej musiała taszczyć sprzętu ratowniczego.

Za nią zjechali na dół Mark, Nash i reszta grupy ratowniczej, a Bob, który został na powierzchni, spuścił im na linie ekwipunek.

– Idźcie na zachód, w stronę wzgórz! – krzyknął z góry Bob. – Zaznaczyłem trasę kredą.

Ruszyli schyleni niskim, wąskim korytarzem z lawy. Kilkanaście kroków dalej korytarz skurczył się i przeszedł w ciasny przepust. Przepęłzli nim na czworakach, aż znaleźli się we właściwej, wysoko sklepionej grocie. Tam nareszcie można się było wyprostować.

– Dobra, ofiara na nosze – zakomenderował Mark, po czym rozłożyli z Nashem składane nosze. – Musimy cię przytroczyć – zwrócił się Mark do Elli, kiedy się na nich położyła. – I to mocno.

– Ja to zrobię – zaoferował się Nash. – Znam się na tym.

– Nie jesteś nawet członkiem – przypomniała mu gniewnym szeptem Ella, kiedy zakładał jej na szyję kołnierz usztywniający.

– A ty chyba do reszty zgłupiałaś, że angażujesz się w te ratownicze zabawy – odszepnął, składając jej ręce na piersiach. – Miasto potrzebuje żywej lekarki, a nie martwej bohaterki. Kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie musisz tym ludziom niczego udowadniać?

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Marka:

– Jakie obrażenia odniosła?

– Powiedzmy, że ma złamaną nogę – odparł rozkosznie Mark.

Nash warknął, że powinni byli ustalić to wcześniej i udzielić pierwszej pomocy przed przytroczeniem rannej do noszy. Ale kazał jednemu z ochotników wziąć nogę Elli w łubki i unieruchomić ją na noszach.

Potem zacisnął mocniej paski uprząży.

– Nie za mocno? – spytał.

Odmruknęła, że nie. Do noszy przywiązano liny i pociągnięto ją na nich po kamieniach, spętana jak baleron, do przepustu. Nosze ledwie przez niego przeszły. Strasznie było tak leżeć jak kłoda i patrzeć w kamienne sklepienie szorujące niemal po czubku nosa.

Za przepustem dwóch ochotników chwyciło nosze i przeniosło je tunelem do otworu w stropie. Tam nosze wraz z przytroczoną do nich Ellą postawiono na sztorc i wywindowano na powierzchnię.

Po zakończonych ćwiczeniach załadowano sprzęt do ciężarówki, po czym Bob kazał wszystkim uczestnikom usiąść na trawie i przeprowadził krótką odprawę, podczas której każdy mógł wygłosić swoje uwagi i sugestie co do przebiegu akcji ratowniczej.

Było już późno, kiedy się rozeszli. Ella ostatkiem sił dowlokła się do swojego samochodu.

– Jadłaś coś przed tą przeprawą? – spytał Nash, doganiając ją.

Pokręciła głową.

– Ja też nie! Jedźmy do Shastri.

– Do Shastri? Po tym czołganiu się tunelami, włóczeniu po kamieniach i przeciskaniu przez mysie dziury? Chyba żartujesz!

Roześmiał się, objął ją i przytulił.

– Wiesz, zaczynałem już myśleć, że nie jesteś normalną kobietą. Że wszystko ci jedno, jak się ubierasz i jak wyglądasz. Ale to była czysto kobieca odzywka, Ello! Nie jest ci jednak wszystko jedno!

Sprawiał wrażenie zachwyconego swoim odkryciem, ale jego słowa były dla Elli jak zatrute strzałki wbijające się w skórę. Czyżby aż tak fatalnie się ubierała?

I wyglądała?

Przesada. Owszem, jej szafa nie pęka może w szwach, a większość ciuchów swoje najlepsze czasy ma już za sobą, ale starała się zawsze wyglądać czysto i schludnie.

Przygnębiona i zraniona komentarzem Nasha wgramoliła się na fotel pasażera własnego samochodu, odchyliła głowę na zagłówek i przełknęła z trudem ślinę. I nagle ogarnął ją gniew. Nashowi McLarenowi nic do tego, jak ona wygląda!

Nash zaś, jak gdyby nigdy nic, zajął miejsce za kierownicą. A potem, zupełnie niespodziewanie, przyciągnął ją do siebie i pocałował, kładąc dłoń na jej piersi. Gruby kombinezon, który miała wciąż na sobie, nie ochronił jej przed ogniem, którym zapłonęła, kiedy zaczął ją pieścić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wyczuł jej reakcję i przeklął w duchu workowate kombinezony, które oboje na sobie mieli. Niełatwo będzie się z nich wymotać w ciasnocie samochodowej kabiny.

No nie! Co też mu, u licha, chodzi po głowie?!

Przerwał pocałunek i spojrział na kobietę, przy której tak się zapomniał. Jest przecież zaręczony z Karen.

Nie wiedział tego na pewno, ale podejrzewał, że kobieta, którą trzyma w ramionach, spała już z jego bratem.

Ella patrzyła na niego, a oszołomienie w jej oczach ustępowało powoli złości.

– Już po całowaniu? – spytała, odpychając go i prostując się w fotelu. – Przypomniałeś sobie, że masz narzeczoną, tak? A może jestem aż tak źle ubrana, że przeszła ci ochota na ten jeden urlopowy skok w bok?

– Och, przestań! – mruknął, przekręcając kluczyk w stacyjce tak energicznie, że stary sfatygowany silnik zakaszał w proteście, zakrztusił się i zgasł. – Całowałaś mnie z równym zapamiętaniem, a wiedziałas, że mam narzeczoną. Nie chciałem cię urazić tą uwagą, zdziwiło mnie tylko, że kiedy

wspomniałem o kolacji, zaczęłaś się nagle przejmować strojem. Możemy przecież pojechać do domu i się przebrać.

Ponownie przekręcił kluczyk w stacyjce – teraz delikatniej – i tym razem silnik zaskoczył.

– Już po dziesiątej – zauważyła Ella, poprawiając się w fotelu i zakładając ręce pod piersiami. – Shastri zamyka o jedenastej. Niechętnie patrzą tam na ludzi, którzy zjawiają się na kwadrans przed. A poza tym nie lubię siadać do posiłku z jaskiniowym błotem we włosach.

Nie znajdował na to odpowiedzi. Czuł się dziwnie rozkojarzony, podekscytowany i niemal zakochany w tej kobiecie. Prawie zakochany?

Jak podobne sformułowanie mogło mu w ogóle przyjść do głowy? A może to nie głowa tu winna – może to serce?

Droga była wyboista, oderwał jednak jedną rękę od kierownicy i pacnął się dłonią w czoło. Powrót do Edenvale wywołał u niego jakiś regres i myślał znowu jak osiemnastolatek.

Rozdzwoniła się jego komórka.

Zatrzymał samochód i sięgnął za pazuchę kombinezonu, zastanawiając się, co by było, gdyby telefon zadzwonił w trakcie ćwiczeń. Czy usłyszałby go w jaskini?

Postąpił bezmyślnie, biorąc w nich udział. Przecież jedno z lekarzy powinno czuwać pod telefonem. Bezmyślnie i nieprofesjonalnie.

– Nash McLaren – powiedział, przykładając komórkę do ucha.

– Och Nash, tu Marg. Neville dostał właśnie zapaści.

Głos Marg był zniekształcony i lekko dudnił.

– Oddycha?

– Nie, ale puls jest. Przełączyłam telefon na tryb głośnomówiący i robię mu właśnie sztuczne oddychanie, ale nie wiem, czy to coś da.

– Nie zastanawiaj się, tylko rób dalej swoje – powiedział Nash. – Ella jest ze mną. Już tam jedziemy.

Wyłączył telefon i oddał go Elli.

– Dzwonź po karetkę. To Neville Neal. Nadal mieszka przy Abalone Street?

Ella, wybierając numer z klawiatury, kiwnęła głową. Rzuciła kilka słów do mikrofonu i rozłączając się, zaklęła pod nosem.

– Coś nie tak?

– Karetka jest na rajdzie motocyklowym dwadzieścia kilometrów stąd. Dyżurny wezwie inną. Jeśli ten nasz rozlazły leniwy członek parlamentu nie załatwi nam drugiej karetki, to zacznę rozpuszczać plotki, że ma romans ze swoją sekretarką.

– A ma? – zainteresował się Nash.

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

Nash zachichotał, skręcił w Abalone Street i zatrzymał się przed domem Marg. Ella wyskoczyła z samochodu i porwała z tylnego siedzenia torbę lekarską.

Wpadli do domu. Neville był już przytomny, ale szary na twarzy i spocony.

– Właśnie zwymiotował – oznajmiła Marg – a więc to chyba tylko jakiś wirus. Przepraszam, że was fatygowałam.

– Nie ma za co – mruknęła Ella, szukając pulsu na nadgarstku Neville’a. – Jeszcze nie wiadomo, czy to na pewno wirus.

Przyglądała się przez chwilę twarzy Neville’a, potem wzruszyła nieznacznie ramionami.

– Nie mówiłeś mi, że raz już straciłeś przytomność?

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem?! – zachnęła się Marg, a Nash zrozumiał teraz to wzruszenie ramion Elli.

Rozważyła sytuację i uznała, że dalsze przestrzeganie prawa pacjenta do poufności nie ma sensu. Widocznie sprawa jest poważna.

Neville próbował uspokoić żonę, tłumacząc, że nie chciał jej martwić, ale Marg nie przyjmowała tego do wiadomości. Oznajmiła, że odwozi go natychmiast do Sydney na specjalistyczne badania.

– Tak, to dobry pomysł – poparła ją Ella – ale lepiej, żeby Neville pojechał tam karetką. Tak na wszelki wypadek.

Odwróciła się do Neville’a i wyjaśniła:

– Położysz się na kilka dni do szpitala na obserwację. Jeśli przyczyną tych omdleń jest lekka arytmia, to wszczepią ci rozrusznik i wszystko wróci do normy.

– A jeśli to nie jest lekka arytmia? – spytał Nash, kiedy karetka z Neville’em i Marg odjechała, a oni wracali do samochodu.

Ella zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Wtedy specjaliści zdiagnozują problem i podejmą stosowne działania – odparła. – Nie widziałam powodu, z którego miałabym ich teraz denerwować

opowiadaniem, że być może konieczna będzie wymiana zastawki albo założenie bajpasów, czy co tam jeszcze.

– Dobra jesteś! – Nawet w jego uszach zabrzmiało to nieprzekonująco.

I oczywiście Ella też to wychwytiła.

– Uważaj, bo jeszcze w głowie mi się przewróci od twoich pochwał – warknęła, wsiadając do samochodu.

– Przepraszam, jeśli tak to odebrałaś, ale mówiłem szczerze. Słyszę to od twoich pacjentów i sam widzę. Jesteś dobra, bo masz podejście do ludzi. Interesują cię nie tylko ich przypadłości, ale i wpływ, jaki mają na nich i ich rodziny. Nawet pan Warburton przyznał na swój gderliwy sposób, że robisz w miasteczku dobrą robotę, na przykład zakładając grupę wsparcia dla osób opiekujących się przewlekle chorymi. Powiedział, że jego żona, odkąd zaczęła chodzić na te zebrania, już tak koło niego nie skacze i nie biadoli, a doprowadzało go to do szewskiej pasji.

Ella zapinała w milczeniu pas bezpieczeństwa.

– Czy ty w ogóle masz czas dla siebie? – ciągnął.
– Popołudniami, kiedy tylko możesz, biegniesz do domu do Brianny, co jest naturalne, ale do tego dochodzi członkostwo w Służbie Kryzysowej, grupa wsparcia dla opiekujących się przewlekle chorymi, pogadanki w szkole średniej i jeszcze jedna grupa wsparcia dla rodziców dzieci specjalnej troski. O tej ostatniej wiem od Josha. Jak ty to wszystko godzisz?

Stał obok samochodu i przytrzymując otwarte

drzwi, zaglądał do środka. W ciemnościach ledwie widział jej twarz, ale wyczuwał, że jest spięta.

– Zamknij wreszcie te drzwi i jedźmy do domu – powiedziała z takim znużeniem, że posłuchał.

Zatrzasnął drzwi, obszedł auto od tyłu i zajął miejsce za kierownicą.

Zatrzymał samochód dopiero przed schodkami prowadzącymi na werandę.

– Nigdy nie zostawiam go tutaj na noc – odezwała się Ella. – Lepiej mi się śpi, kiedy stoi zamknięty w garażu.

– To wyskakuj, a ja go tam wstawię. Jesteś zmęczona.

Wysiadła i weszła do domu. Nie musiała zachowywać się cicho, bo Brianny ani pani Carter nie było. Pomaszerowała prosto pod prysznic, żeby zmyć z siebie kurz i błoto po ćwiczeniach.

Owinięta w ręcznik skierowała się do swojej sypialni. Wysunęła dolną szufladę starej komody, w której trzymała piżamy i nocne koszule. Wybrała stary zielony T-shirt, który dostała od jednej z koleżanek, kiedy w szóstkę – pięć kobiet i Rick – mieszkali pod jednym dachem.

Żartowały wtedy między sobą, że są jego haremem. Dawno i nieprawda! T-shirt był na tyle długi, że zakrywał, co trzeba i nie siała w nim zgorszenia. Włożywszy go, uświadomiła sobie, że jeśli teraz czegoś nie zje, to głód za dwie godziny ją obudzi. Poszła więc do kuchni, nalała szklanek mleka, wstała na dziesięć sekund do mikrofali, by się ogrzało, i zabrała się do robienia kanapki.

Na odgłos kroków zmartwiała, ale przypomniała sobie zaraz, że przecież ma teraz sublokatora w osobie Nasha.

– Chcesz kanapkę z miodem? – spytała, kiedy wszedł.

– Sam sobie coś zrobię – mruknął, ale zamiast skręcić do spiżarni albo lodówki, usiadł na krześle naprzeciwko niej. – Miałaś rację – zaczął. – Nie powinniśmy oboje brać udziału w tych dzisiejszych ćwiczeniach. Ale może póki tu jestem, zastąpię cię w zespole, a ty w te wieczory zajmiesz się wizytami domowymi.

Ella była zmęczona, ale nie aż tak, by ta propozycja nie wydała jej się podejrzana.

– Bo co?

– Bo nie możesz się tak przepracowywać, mieć tyle na głowie.

– Nie twoja sprawa, co mam na głowie – warknęła. – I nie zgadzam się, żebyś mnie zastępował. Cała idea ćwiczeń i zebrań sprowadza się do tego, żebyśmy się zgrali i podczas akcji rozumieli bez słów. Twoje zastępstwo wprowadziłoby tylko zamieszanie, a potem byś wyjechał, a ja od początku musiałabym się wszystkiego uczyć. Nie, ty weźmiesz wizyty domowe. Po to właśnie potrzebny mi był w przychodni drugi lekarz.

Spojrzał na nią spode łba, ale ponieważ nie było to pierwszy raz, zignorowała to spojrzenie i wypila mleko. Kanapka zdążyła już nasiąknąć miodem, smakowała jak słodka tektura i nie nadawała się do jedzenia.

– No nic, idę spać – powiedziała i chciała wstać od stołu, ale Nash przytrzymał ją za rękę.

– Nie musi tak być, Ella – powiedział cicho. – Nie musimy przez cały czas drzeć ze sobą kotów. Byliśmy kiedyś przyjaciółmi, nie możemy zostać nimi znowu?

Przyjaźnić się z Nashem?! To była druga pozycja na liście jej marzeń nie do spełnienia! Lepiej nie myśleć, co tę listę otwiera.

Ale Nash ma Karen, a ona nie wyglądała na taką, która będzie patrzyła przez palce na jego przyjaciółki. Zresztą jej sama przyjaźń też nie wystarczy. Nie, albo dwie pierwsze pozycje z jej listy marzeń – przyjaciele i kochankowie – naraz, albo nic.

– Nie, nie sądzę – powiedziała i znowu spróbowała wstać od stołu, ale on nie puszczał jej ręki.

– Dlaczego?

– Nie wygłupiaj się. Przecież to się rozumie samo przez się. Szpiegujesz mnie, próbujesz odwieść swoją matkę od zamiaru sprzedania mi praktyki. Przyjaciele! – prychnęła. – Przyjaciele działają razem, lubią się, wspierają! Kiedy już się mnie stąd pozbędziesz, nigdy więcej pewnie się nie zobaczymy, i upłynie kolejnych pięć miesięcy, zanim znowu raczysz odwiedzić matkę.

Nash przeczesał palcami włosy i pokiwał głową.

– Pracuję w weekendy... to znaczy, siedem dni w tygodniu – powiedział.

– Dlaczego?

Podniósł na nią wzrok.

– Jak to dlaczego? Jesteś tutaj tak oderwana od rzeczywistości, że nie słyszałaś o kryzysie w szpitalach publicznych? O trudnościach z obsadzeniem

personelem oddziałów ratunkowych? Pracuję tak, bo muszę.

– Siedem dni w tygodniu? – powtórzyła. – Nie zazdroszczę pacjentowi przychodzącemu do lekarza, który przepracował nie wiadomo ile godzin albo i dni z rzędu. To bez sensu tyle pracować, Nash, i powinieś zdawać sobie z tego sprawę. Przemęczeni lekarze popełniają błędy w sztuce.

– Ja ich nie popełniam!

– Akurat! – fuknęła, nie zważając na jego gniewny ton. – Ze statystyk wynika, że lekarze pracoholicy często przed czymś uciekają. W raporcie, który czytałam, podano dwie przyczyny: nieudane życie rodzinne albo nieudany związek.

Czerwone plamy wystąpiły mu na policzki i chociaż jego oczy nie ciskały błyskawic, to niewiele brakowało.

– Moje zawodowe życie to nie twój interes – wycedził. – Ale skoro już poruszyłaś ten temat, to czy to samo nie odnosi się do ciebie? Czy nie o tym rozmawialiśmy u Marg i Neville’a? Że pracujesz do upadłego i angażujesz się, w co tylko się da? Przed czym ty uciekasz?

Spiorunowała go wzrokiem, zła, że udało mu się odwrócić kota ogonem.

– Od mojej ucieczki upłynęło wiele lat – powiedziała. – Teraz wróciłam i odbudowuję swoje życie na solidnym fundamencie i z wizją przyszłości... Chyba że ty wszystko popsujesz – dokończyła już ciszej, bliska łez.

Wyrwała mu rękę i wstała. On też się zerwał, okrążył stół i otoczył ją ramionami. Nie oponowała.

To było szalone. Nienawidzili się nawzajem. Może nie tyle nienawidzili, co sobie nie ufali.

Pocałunek zmiotł tę myśl. Usta Nasha, płomień pożądania ogarniający ciało, cichy okrzyk – ni to jęk, ni błaganie – kiedy jego dłoń zamknęła się na jej piersi i zaczęła ją pieścić. Nash oderwał się w końcu od jej ust i spojrzał jej w oczy.

– Nie doprowadziliśmy czegoś do końca, Ello, i oboje o tym wiemy.

Uniósł rękę i pogładził ją po policzku.

– Ale to musi jeszcze poczekać. Dzisiaj ty jesteś zmęczona, ja mam dyżur pod telefonem, a cholera by mnie wzięła, gdybym w połowie musiał się od ciebie odrywać i pędzić do jakiegoś chorego bachora. Chyba bym ukatrupił dzwoniącego!

Uśmiechnął się, pocałował ją znowu, tym razem delikatniej, a potem odwrócił twarzą do drzwi i pchnął lekko, mówiąc:

– Idź, zanim będzie za późno.

Zupełnie mu odbiło?!

Nash wypuścił ją ze swych ramion i pozwolił odejść, a teraz, płonąc z pożądania, targany sprzecznymi emocjami, odprowadzał wzrokiem. Przecież gdyby porwał ją na ręce i poniósł do swojej sypialni, nie zaprotestowałaby słowem.

Jeszcze nie wszystko stracone – może ją zatrzymać, chwytając za pasmo tych wilgotnych nadal włosów, przyciągnąć do siebie i...

Nie, jest zmęczona, a on ma dyżur pod telefonem. Ona zasługuje na coś lepszego.

Kiedy stawiała trzeci krok, w oczy rzucił mu się napis na plecach zielonego rozciągniętego T-shirta służącego jej chyba za nocną koszulę: RICK MARTIN – KRÓL SEKSU.

Och, z jaką rozkoszą walnąłby teraz w coś pięścią, ale gdyby to zrobił, to znaczy walnął na przykład w stół, Ella zawróciłaby do kuchni i prawdopodobnie też by od niego oberwała.

Nie, oczywiście, że by jej nie uderzył, ale Rickowi Martinowi bez wahania rozkwasiłby nos. Przypomniało mu się teraz, jak ten facet patrzył na Ellę i jak Ella patrzyła na niego.

Starzy przyjaciele, co?

Wykluczone!

Tak, zdecydowanie przylałby temu Rickowi Martinowi!

Był na plaży, a na ścianie starej przebieralni ktoś wymalował farbą w sprayu wielkie serce przebite strzałą i napisał pod spodem „Ella kocha Ricka”.

Jadł coś – serce Ricka Martina? – i było mu niedobrze. Aż do bólu w piersiach.

Potem zaczęła grać plażowa orkiestra i pojawiła się Ella. Próbowwała ścierać ze ściany... serce? – nie, imię Ricka. I trzymała w ręku puszkę z farbą w sprayu, z czego wniosek, że zamierza namalować tam imię kogoś innego.

On trzymał się za bolący brzuch i nie spuszczał z niej oczu, i nagle do jego świadomości przedarła się melodia wygrywana przez orkiestrę...

Sięgnął po omacku po telefon, strącił go z nocnej szafki, namacał wyłącznik lampy i podniósł z podłogi dzwoniącą wciąż komórkę.

– Nash McLaren! – Przeczesał palcami włosy. O mało nie powiedział „Rick Martin”!

Słuchał przez chwilę głosu zdenerwowanej matki Kylie...

– Tak, pani Wilson, wiem, gdzie to jest. Proszę jej dać dwie aspiryny i schładzać. Wilgotną ściereczką. Już do pani jadę.

Ubrał się szybko, wypadł z domu i pognał podjazdem w kierunku garaży. Czyżby błędnie zdiagnozował wysypkę Kylie na początku tego tygodnia? Według pani Wilson, dziewczyna miała teraz wysoką temperaturę. Zapalenie opon mózgowych? Posocznica? Może Ella miała rację – za dużo pracował, żeby być skutecznym lekarzem?

Otworzył garaż, wyprowadził samochód i pomknął przez wyludnione uliczki.

– Żeby to tylko nie było zapalenie opon – wymruczał pod nosem, zatrzymując się przed jasno oświetlonym domem i adresując te słowa do świętego Judy, patrona beznadziejnych przypadków.

Zerknął na pacjentkę i kazał panu Wilsonowi dzwonić po karetkę, a sam przystąpił do badania. Kylie skórę miała suchą, rozpaloną, oddech i tętno przyspieszone.

Podłączył jej kroplówkę, podał antybiotyk i środek na obniżenie gorączki.

– Skarżyła się na ból brzucha albo nudności? – spytał panią Wilson.

– Jest... no, w tym okresie miesiąca... Zawsze ciężko go znosi.

Nash ucisnął lekko brzuch i Kylie krzyknęła z bólu.

– Używa tamponów? – spytał, przypominając sobie przypadek dziewczyny, która umarła na posocznicę w basenie, nie zdając sobie nawet sprawy, jak jest chora.

Pani Wilson kiwnęła głową. Od telefonu wrócił pan Wilson.

– Karetka pojechała z kimś do Sydney – oznajmił. – Dyżurna mówi, że ściągną dla nas inną, ale to może potrwać parę godzin.

– Jaki ma pan samochód? – spytał Nash.

– Duży terenowy, z napędem na cztery koła.

– No to sami ją zawieziemy – zdecydował Nash.

– Proszę położyć na tylne siedzenie kilka poduszek i koców. Usiądę tam z nią, a pan poprowadzi.

Do szpitala dojechali o świcie. Kylie przeniesiono na nosze i powieziono na oddział. Ginekolog pobrał próbki do analizy i pobiegł z nimi do laboratorium.

Nash, spokojny, że dziewczyna jest już pod dobrą opieką, zabrał zmęczonego i zdenerwowanego pana Wilsona do stołówki. Zamówili śniadanie i zadzwonili do pani Wilson, by zdać jej relację.

– Dobrze, że nie hodujemy już mlecznych krów – powiedział pan Wilson, kiedy siadali przy stoliku. – Jane musiałyby je teraz sama doić, a nie wiem, jak dałaby sobie radę beze mnie i bez Kylie...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ella obudziła się późno i wyskoczyła z łóżka, przekonana, że Briannie coś musiało się stać. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że przecież Brianna nocowała u Sary. Weszła więc do kuchni, zaparzyła sobie herbatę i wróciła z nią do łóżka, by podelektować się spokojnym porankiem.

Przechodząc przez duży pokój, zerknęła odruchowo na automatyczną sekretarkę – światelko mrugało, ktoś się nagrał. Ciekawe, czy Nash już się obudził. Te wczorajsze pocałunki na dobranoc...

Wcisnęła przycisk odtwarzania i serce zabiło jej żywiej, kiedy usłyszała jego głos. Głos zupełnie wyprany z emocji, którym informował ją, że w nocy zdiagnozował u Kylie Wilson sepsę, odwiózł ją do Sydney i wróci najwcześniej po południu. Ma nadzieję, że sobie bez niego poradzi.

– Radziłam sobie bez ciebie przez dwanaście lat – powiedziała do automatycznej sekretarki, wyłączając maszynę, zanim zaczęła odtwarzać wiadomość od początku. No tak, tylko skąd ten gniew, który w niej wzbiera?

Już wie! Okłamał ją! Skoro wraca tak późno, to pewnie poszedł do Karen. Pocałował ją na powitanie,

a teraz są pewnie w drodze do jakiejś sztywnej, pięciogwiazdkowej restauracji.

Zazgrzytała zębami, zawróciła z herbatą do kuchni i wylała ją do zlewu. Potem ubrała się i gwizdnęła na psy. Może spacer uspokoi ją przed dyżurem w przychodni.

Nie ma co, pomyślała, wychodząc z domu, związek Nash-Ella – jeśli w ogóle można to było nazwać związkiem – przeszedł do historii. Koniec, kropka.

No tak, ale w takim przypadku co z Brianną?

To znaczy, co z nią, jeśli rzeczywiście jest córką Russella, a co za tym idzie, wnuczką Sary?

I bratanicą Nasha! To jest dopiero pytanie!

Dwoje McLarenów – Nash i Sara – na nią jedną. Powołają się na jakieś prawo do opieki nad dziewczynką i odbiorą jej dziecko, które jest teraz całym jej życiem.

Najłatwiej byłoby zignorować sprawę podobieństwa. Ale czy byłoby to fair wobec Sary, od której zaznały obie tyle dobrego?

Oczywiście, że nie!

Ale Elli słabo się robiło na samą myśl, co mogłyby wykazać testy i jakie byłyby tego konsekwencje. A może tak porozmawiać o tym z Nashem?

Tu przypomniało jej się, jak trzymał ją wczoraj wieczorem w objęciach – jakby była dla niego czymś bardzo cennym. Co z tego, że je teraz z Karen lunch w pięciogwiazdkowej restauracji. Jego wczorajsze zachowanie niosło w sobie jakąś obietnicę i jeśli, korzystając z krótkiego pobytu w Edenvale, chce przeżyć z nią przelotny romans, i jeśli Karen się o tym

nie dowie, a nie dowie się, to tak naprawdę jedyną osobą, która ucierpi, kiedy Nash wyjedzie, będzie ona, Ella. Ale jest na to przygotowana i jakoś to zniesie.

– Chyba do reszty zgłupiałam! – rzuciła do harujących psów. – Dwadzieścia minut temu zdecydowałam, że nie chcę mieć z nim do czynienia, teraz rozważam możliwość nawiązania z nim romansu i nakłonienia do zdradzenia kobiety, z którą jest zaręczony. Muszę iść do pracy, zająć się czymś, co naprowadzi moje myśli na właściwe tory. Co pomoże mi wyrzucić z głowy Nasha McLarena.

Wróciła zdecydowanym krokiem do domu, przebrała się do pracy, chociaż do rozpoczęcia dyżuru zostały jeszcze dwie godziny, wyciągnęła spod łóżka walizkę Meg z cennymi kserokopiami i pomaszerowała do przychodni, żeby tam je choć częściowo przejrzeć.

Do świąt Bożego Narodzenia tylko dwa tygodnie, a chciała jeszcze przed nimi spłacić dług i wejść w nowy rok z zupełnie czystym kontem.

Usiadła za biurkiem. Miała już listę poszkodowanych członków kasy wraz z wkładami. Teraz musi dokładnie ustalić, ile każdy z nich stracił wskutek bankructwa spółdzielni. Spodziewała się, że znajdzie te informacje w rocznym sprawozdaniu, przy kopiowaniu którego zaskoczył ją w bibliotece Nash.

Kiedy usłyszała wchodzącą do przychodni Kate, zebrała z westchnieniem dokumenty i schowała je do szuflady. Dokończy po południu.

Pierwszym jej pacjentem był Bob Carruthers.

– W czym mogę pomóc?

– Coś mi się stało w ramię po wczorajszych ćwiczeniach. Nie mogę go podnieść.

Ella kazała mu usiąść i zdjąć koszulę, a potem obmacała delikatnie gorące, czerwone, spuchnięte miejsce.

– Coś cię ukąsiło, albo to kleszcz.

– Mam uczulenie na kleszcze, ale kiedy taki zalezie mi za skórę, dostaję zwykle duszności, a nie opuchlizny.

Ella wzięła szkło powiększające, ale nawet przez nie nie dostrzegła czarnego punkcika, który świadczyłby o obecności kleszcza, ani nakłucia po ukąszeniu.

– Jaki to jest ból? Narasta? Promieniuje od ramienia?

– Boli tylko, kiedy poruszam ręką – odparł Bob.

– Dam ci środek przeciwbólowy i antyhistaminę, ale wołałabym, żebyś został w przychodni na wypadek, gdyby się pogorszyło.

Bob usiadł w poczekalni, a Ella poprosiła kolejnego sobotniego pacjenta.

Kiedy przyjęła ostatniego i miała znowu poprosić Boba, do przychodni wszedł Nash. Minę miał jak gradowa chmura. Przywitał się z Bobem i spojrzał spode łba na Ellę.

– Dobrze, że jesteś – powiedziała. – Zerknij na ramię Boba. Może widziałeś już gdzieś coś takiego.

Wprowadziła Boba do gabinetu zabiegowego, pomogła mu zdjąć koszulę i posadziła na krześle przy oknie.

Nash zaczął obmacywać i uciskać spuchnięte miejsce, sądząc po pojękiwaniach Boba, o wiele mniej delikatnie niż wcześniej ona.

– Nie sądzisz, że należałoby to otworzyć? – zapytała.

– Gdzie? – fuknął. – Nie ma tu wyraźnego ogniska infekcji, nie widać, żeby coś siedziało pod skórą. Natnę na chybił trafił i nic to nie da, tylko szyc trzeba będzie.

Bob skulił się na krześle.

– Przestańcie na siebie powarkiwać, bo aż przykro słuchać. Wczoraj, na ćwiczeniach, wydawało mi się, że macie się ku sobie.

– To ci się tylko wydawało! – burknął Nash, obmacując gruczoł limfatyczny pod pachą Boba.

Ella była tak samo jak Bob zaskoczona opryskliwością Nasha. Co w niego wstąpiło? Owszem, postanowiła dzisiaj, że będzie go trzymała na dystans, ale on przecież jeszcze o tym nie wie.

Patrzyła, jak bada ramię Boba i czytała z jego miny, że jest tak samo jak ona zakłopotany. Gdyby nie troska o pacjenta, byłaby z tego zadowolona.

– Co mu podałaś? – spytał, spoglądając na nią lodowato.

– Środek przeciwbólowy i zastrzyk antyhistaminy. Dwie godziny temu. Opuchlizna nie jest już tak gorąca, ale nie zmniejszyła się.

– A antybiotyk?

– Gdybym widziała infekcję, to owszem, ale w tym przypadku?

Ku jej zaskoczeniu Nash kiwnął głową.

– Zróbmy mu jeszcze jeden zastrzyk z antyhistaminy – zaproponował, patrząc z z troskaniem na przyjaciela. – Słuchaj, stary, idź do domu i połóż się. Wiem, że to głupio brzmi, ale tak będzie najlepiej. Jeśli źle się poczujesz albo ból się nasili, dzwoń do mnie od razu na komórkę.

Odbiera mi pacjenta! – pomyślała Ella, ale nic nie powiedziała.

Nash wyszedł z Bobem, a ona zamknęła przychodnię i skierowała się w stronę domu.

Czyżby to infekcja jakiegoś mięśnia albo ścięgna? – zastanawiał się Nash, leżąc na łóżku i wpatrując się w sufit. Gdzieś z drugiej strony domu dobiegały przytłumione głosy. To pewnie Ella rozmawia ze swoją córeczką.

Jeszcze jeden problem do rozwiązania. Jeśli Brianna jest wnuczką matki, to matka powinna się o tym dowiedzieć. Jak tu wyciągnąć od Elli prawdę?

Nie, teraz ważniejsze jest ramię Boba.

Jeśli to infekcja ścięgna...

Chyba się zdrzemnął, bo ni stąd, ni zowąd w domu zrobiło się cicho. No, może niezupełnie. Ktoś, pewnie pani Carter, pobrzękiwał w kuchni garnkami.

Wstał i poszedł tam. Pani Carter zaproponowała mu kawę, ale podziękował, bo we śnie przeszła mu do głowy pewna myśl w związku z opuchlizną na ramieniu Boba.

– Czy Ella trzyma gdzieś tu w domu swoje książki medyczne? – spytał.

Pani Carter pokręciła głową.

– Wyniosła wszystkie do przychodni. Chyba są w jej gabinecie.

Nash podziękował za tę informację i wyszedł z domu. Jakież było jego zdziwienie, kiedy w gabinecie zastał Ellę. Był przekonany, że poszła na spacer z Brianną.

Na jego widok wydała okrzyk przerażenia, zmiotła z biurka papiery, nad którymi ślęczała, i wyłączyła kalkulator. W jej oczach malowało się takie poczucie winy, że odżyły w nim wszystkie podejrzenia co do powodów, które sprowadziły ją z powrotem do Edenvale.

– A ty co tu robisz? – spytał.

– Liczę. – Poczerwieniła.

– Ach tak. To może ci pomogę? O ile pamiętam, z matmy nie byłeś w szkole najlepsza. – Myślał, że już bardziej nie można się zaczerwienić, a jednak...

– Dziękuję, nie chcę cię fatygować – odparła, siłąc się na spokój, ale zdradzały ją te pałające policzki.

– Oj, to dla mnie żadna fatyga.

I tutaj nerwy wreszcie jej puściły, wybuchła z całą energią Wezuwiusza.

– Wyjdź stąd!

– Przepraszam, nie wiedziałem, że tu jesteś. Przeszedłem zajrzeć do fachowej literatury. Zastanawiam się, czy problem Boba nie bierze się z infekcji mięśnia albo ścięgna.

Uspokoila się, usiadła i wskazała na mały stolik pod oknem.

– Nie krępuj się. Przewertowałam już wszystkie książki leżące na tym stoliku i nic nie znalazłam.

Czytałam gdzieś niedawno, chyba w jakimś czasopiśmie medycznym, że takie objawy mogą wskazywać na infekcję stawu, ale wątpię, żeby to było to, bo ból pojawił się nagle. Pozostaje pająk. Nie jakiś bardzo jadowity, bo Bob czułby się o wiele gorzej. Po ukąszeniu małego pająka nie ma prawie żadnego śladu, a ten ból i opuchlizna wydają się być symptomatyczne. Zadzwoiłam do Boba i kazałam mu sprawdzić w domu, czy nie załagał się tam jakiś pająk.

Nash patrzył na nią z podziwem.

– Powinniśmy się pobrać! – wypalił ni stąd, ni zowąd. Sam nie wiedział, czemu to powiedział.

– Piłeś coś? – zapytała. – Wszedłeś tu naburmuszony, odnosiłeś się do mnie z taką wrogością, że nawet Bob to zauważył, a teraz proponujesz mi małżeństwo? Co na to Karen?

– Z Karen dziś rano zerwałem.

– Żeby po południu z czystym sumieniem oświadczyć się mnie? – zauważyła z sarkazmem.

Podniosła słuchawkę telefonu.

– Do kogo dzwonisz? – spytał z niepokojem Nash.

Roześmiała się. Ścisnęła ją w dołku, w głowie miała chaos, a tu proszę, śmieje się.

– Spokojnie, do Josha. Jest zastępcą komendanta Służby. Przyszło mi właśnie do głowy, że pająk mógł być w kombinezonie, który Bob miał wczoraj na sobie.

Gdy Josh odebrał, wyjaśniła mu w paru słowach, o co chodzi.

– Zastanawiam się, kiedy remiza była ostatnio spryskiwana środkiem owadobójczym. Może warto

by to było zrobić, a przynajmniej niech ktoś sprawdzi pod tym kątem wszystkie kombinezony, kaski ochronne i ekwipunek.

– Sam to zrobię – zaoferował się Josh – a potem wpadnę do Boba. Posiedzę z nim trochę, pogramy w karty.

– Dzięki, Josh.

Ella odłożyła słuchawkę i spojrzała na Nasha, który usiadł tymczasem na stojącym przed biurkiem krześle.

Był wymizerowany, nieogolony, miał podkrążone oczy, rozwichrzone włosy, a jego koszula wyglądała tak, jakby w niej spał, ale nigdy nie wydawał jej się bardziej pociągający...

Dosyć, ofuknął ją głos wewnętrzny, uniosła więc pytająco brwi i czekała na wyjaśnienia.

– Myślałem o praktyce... że chętnie bym tu został, że tutaj mógłbym się czuć naprawdę przydatny. Lubie bezpośredni kontakt z pacjentem. Potem pomyślałem o Briannie... że skoro nie chcesz, żeby mama dowiedziała się o tobie i Russellu, to gdybyśmy się pobrali, mógłbym Briannę zaadoptować i stałaby się oficjalnie wnuczką mamy...

– Chwileczkę! – przerwała mu, unosząc rękę. – Co niby miałabym ukrywać przed Sarą o sobie i Russellu? Ja i Russell? Kto jak kto, ale wy powinniście wiedzieć, że dla Russella istniała tylko jedna jedyna kobieta, i była nią Meg.

– Ale ty jesteś podobna do Meg, a on był taki nieszczęśliwy, że może chciałś go pocieszyć.

Ella znowu poczuła wzbierający gniew. Nie mogła

usiedzieć. Wstała, obeszła biurko, stanęła nad Nashem i utkwiała w nim pałający wzrok.

– A więc sugerujesz, że poszłam z Russellem do łóżka ze współczucia? Wiedząc o jego chorobie? Wiedząc, jak często bywa bliski załamania nerwowego?

Pokręciła głową i cofnęła się.

– Wierzyć mi się nie chce, że pozwoliłam ci się pocałować.

– Nie tylko pozwoliłaś mi się pocałować, oddałaś ten pocałunek.

Nash sprawiał wrażenie urażonego i zakłopotanego.

– Tak naprawdę to nie wierzę, że spałaś z Russellem – dodał – ale to podobieństwo jest niezaprzeczalne, dlatego sam nie wiem, co o tym myśleć...

– Skoro już poruszyłeś ten temat, to powiem ci, że mnie też to podobieństwo rzuciło się w oczy i zastanawiam się, czy Russell nie jest czasem ojcem Brianny...

– No właśnie! – warknął Nash, wstając i podchodząc do niej. – Sama przyznajesz. I jak ja mam to rozumieć? Miałaś w tamtym okresie tylu mężczyzn, że straciłaś rozeznanie? Czy tylko tego boga seksu i Russella?

Ella usiadła, przetarła dłońmi twarz i wzięła głęboki oddech.

– Nash, Brianna jest dzieckiem Meg, nie moim.

– Jest dzieckiem Meg?

Ella kiwnęła głową.

– Córką Meg?

Ella ponownie kiwnęła głową.

– A Meg wiedziała, kto jest ojcem?

Kiwnięcie głową tym razem nie wystarczało.

– Przypuszczam, że tak – odrzekła. – Bo wbrew twojej opinii, Nash, panny Marsden nie były puszczalskie. Byłam dokładnie dwa tygodnie po zaręczynach z moim narzeczonym i tylko raz się kochaliśmy, kiedy Meg zginęła i w moim życiu pojawiła się Brianna. On uznał wtedy, że dzieci nie pasują do jego stylu życia. Rozstaliśmy się po przyjacielsku – jemu prawdopodobnie ulżyło, bo nie byłam dobra w łóżku i nie bardzo wiedział, jak postępować z dwudziesto-sześcioletnią dziewczyną. Nie wiem, jak wyglądało życie seksualne Meg, ale mam powody przypuszczać, że podobnie jak ja żyła w celibacie. Jeśli ma się matkę, która ucieka z dziesięć lat młodszym od siebie surferem, a wcześniej zabawia się z nim w domu, to można się do seksu zniechęcić.

– Meg nie powiedziała ci, kto jest ojcem Brianny?

Ella pokręciła głową.

– Meg nie wiedziała, że umrze – odparła. – Kto w wieku dwudziestu sześciu lat myśli o śmierci? Obiecywała, że kiedyś mi powie, ale nie zdążyła.

Ella pociągnęła nosem i otarła łzę z policzka.

– Ale kiedy zwróciłeś mi uwagę na podobieństwo Brianny do Sary, zaczęłam podejrzewać, że mógł nim być Russell. Meg bardzo chciała wrócić do Edenvale, o wiele bardziej niż ja. Zastanawiam się, czy nie dlatego, żeby Brianna mogła się wychowywać blisko swojej babci. – Spojrzała na Nasha. – Idź już, Nash, proszę cię. Mam dużo pracy.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale rozmyślił się i wstał.

– Jeszcze wrócimy do tej rozmowy! – powiedział i wyszedł.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Ella otarła oczy i pozbierała z podłogi rozsypane dokumenty.

Nash szedł zamyślony podjazdem, nie zwracając uwagi na nadciągające burzowe chmury.

A więc Brianna jest córką Meg.

A narzeczony rzucił Elle, bo ta postanowiła zaopiekować się dzieckiem siostry.

Niewykluczone, że Brianna jest córką Russella. Kurczę, zasmucało go to i radowało jednocześnie.

Wnuczką jego matki!

Uśmiechnął się. Jego bratanicą?

Coś podobnego!

Minął zakręt i zobaczył dom, a potem zdenerwowaną matkę zbiegającą po schodkach z werandy.

– Nash, dzięki Bogu, że już jesteś! Brianna zniknęła!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Brianna i Pete. Josh przywiózł go tutaj pół godziny temu, żeby pobawił się w ogrodzie. Potem zadzwonił telefon, poszłam odebrać, a kiedy wróciłam, ich już nie było. Pani Carter przeszukała cały dom, a ja biegnę właśnie do przychodni powiedzieć o tym Elli.

– Ja jej powiem – wyrzucił z siebie Nash, odwrócił się i popędził z powrotem.

Dopiero teraz zauważył, że pogoda się psuje. Ciarki przeszły mu po plecach, kiedy wyobraził sobie dwoje dzieci zabłąkanych pośród burzy. Pal licha pogodę! Najważniejsze, jak zareaguje Ella.

Ta wiadomość może ją zdruzgotać.

I tu się mylił.

– Nie mogli odejść daleko! – powiedziała. – Sara jest pewna, że się gdzieś nie schowali? Przeszukały z panią Carter cały dom i ogród? Nie, pewnie przeszukały...

Nash wziął ją za rękę.

– Czy Harry jest z nimi?

– Jaki Harry? A, pies. Nie pytałem.

– Harry będzie się nimi opiekował – orzekła Ella trochę zmienionym głosem.

– Przeszukamy okolicę, a jeśli to nic nie da, powiadomimy Służbę Kryzysową.

Wybiegli z przychodni.

– Najpierw garaże, potem zarośla po obu stronach podjazdu.

Nash pokręcił głową. Jej opanowanie i jasność myślenia były godne podziwu.

Ruszyła przodem, wołając Briannę po imieniu.

Dwadzieścia minut później wiedzieli już z całą pewnością, że dzieci nie ma ani w domu, ani w ogrodzie. Ella zatelefonowała do Boba, wiedząc, że zostanie u niego Josha.

– Jaskinie – stwierdził od razu Josh. – To moja wina. Opowiadałem Pete’owi o naszych nocnych ćwiczeniach.

– A wiesz, że Brianna też dostała ostatnio obsesji na punkcie tych jaskiń, wypożyczyła nawet z biblioteki książkę o nich. – Ella starała się nie dopuszczać do siebie paniki. – Cholera, chyba masz rację.

Nash odebrał jej słuchawkę i rozmawiał chwilę z Joshem.

– Dobra – powiedział, rozłączywszy się. – Idziemy na przylądek. Zabierzemy swoje komórki, żeby być w kontakcie z Joshem. Bob mówi, że czuje się na tyle dobrze, żeby zająć się organizacją. Połowę ściągniętych ludzi skieruje do przeszukania terenu od naszej bramy w kierunku miasta, resztę wyśle na przylądek. Chodźmy.

Powiedział matce, co zamierzają i wziął ciężkie, nieprzemakalne płaszcze, bo zbierało się na burzę.

– Zabiorę Donnę – oznajmiła Ella. – Ona jest najbliższej z Brianną i Harrym.

Zawołała sukę, a ta przybiegła w podskokach, szczęśliwa, że trafia jej się nadprogramowy spacer.

– Gdzie Harry? – zapytała ją Ella.

Suka popatrzyła na nią inteligentnymi oczami, a potem rozejrzała się.

– Szukaj Harry’ego – poleciła Ella.

Donna zaszczeakała i pobiegła przodem w kierunku przyładka.

Ruszyli za nią. Zaprowadziła ich do wejścia do jaskini, do której opuszczali się podczas ćwiczeń. Otwór był zabezpieczony kratą, która miała powstrzymać żadnych przygód turystów przed penetrowaniem podziemnych korytarzy.

– W piątek po ćwiczeniach chłopaki założyli z powrotem tę kratę i zamknęli ją na kłódkę – powiedział Nash. – Nikt tu nie mógł wejść.

Ale Ella, puszczając jego słowa mimo uszu, ukłękła nad zakratowanym otworem, pochyliła się nisko i zawołała Briannę.

Odpowiedział jej Harry. Jego szczekanie odbijało się echem w korytarzach z lawy.

– Brianna, jesteś tam, kochanie? Jest z tobą Pete? Nic się wam nie stało?

Żadnej odpowiedzi – tylko ujadanie Harry’ego.

– W jaki sposób... – zaczął Nash, ale Ella przesuwała już nogi między prętami kraty.

– Są tak szeroko rozstawione, że nawet ja się między nimi przecisnę, a co dopiero dzieci. Dzwon do Josha, niech tu przyjeżdża z całą ekipą.

– Nie możesz tam zejść bez ekwipunku – zaprotestował Nash.

– Dzieciom mogło się coś stać. Jeśli spadły z tej wysokości, to mogły stracić przytomność.

– A ty wylądujesz na nich i pogorszysz jeszcze sprawę.

Josh odebrał telefon, a kiedy Nash wyjaśniał mu sytuację, Ella powiedziała:

– Wątpię, żeby leżały bezpośrednio pod wejściem, bo szczekanie Harry’ego wyraźnie dobiega gdzieś z głębi korytarza, a on by ich nie zostawił. Zeskakuję tam.

Nash, który skończył już rozmowę, chwycił ją za rękę.

– Zaczekaj, opuszczę cię niżej. Po co masz skakać z tej wysokości! Ale nie zapuszczaj się sama w głąb tunelu. Chyba nie chcesz, żeby ludzie ryzykowali życie, szukając waszej trójki.

– Czwórki – poprawiła go. – Tam jest jeszcze Harry.

Dzieci nie leżały nieprzytomne pod samym wejściem, ale było tego wyjaśnienie. Skorzystały ze sznurowej drabinki z nadrzewnego domku Pete’a. Przywiązał ją pewnie do prętów kraty, ale kiedy zeszedli oboje na dół, węzły się rozwiązały i drabinka spadła.

Kiedy Ella podzieliła się swoją hipotezą z Nashem, ten zauważył, że przecież pies nie zszedłby po sznurowej drabince.

– Nie znasz jeszcze Harry’ego – odparła. – Brianna? Pete? Jesteście tam, dzieci? – zawołała.

Nie było odpowiedzi, ale szczekanie Harry’ego kazało przypuszczać, że dzieci, szukając drogi wyjścia, poszły w kierunku przepustu.

– Nie idź nigdzie sama. Nie masz latarki, nie masz kasku! – wołał z góry Nash, ale to nie jemu zginęło ukochane dziecko. Poza tym światło wpadające przez otwór wejściowy dosyć dobrze rozpraszało ciemności w tunelu, przynajmniej na jego początku.

Ella gwizdnęła na Harry'ego w nadziei, że przybiegnie i zaprowadzi ją do dzieci, ale się nie pojawił. Nie przestawał jednak ujadać.

Krzyknęła do Nasha, że idzie, i chociaż przeklinał i zakazywał, ruszyła przed siebie.

– Brianna! – zawołała znowu, oddaliwszy się na kilkanaście kroków od wejścia.

– Brianna zrobiła sobie coś w nogę, i Harry też – dał się słyszeć cichy głosik Pete'a.

Ella odetchnęła z ulgą.

– Czy Brianna się do ciebie odzywa, Pete? – spytała.

– Czasami – odparł Pete, a Elli zimny dreszcz przeszedł po krzyżu.

Zaczęła sobie wyobrażać różne straszne urazy, które może pociągnąć za sobą uderzenie w głowę. Ale bez światła nie mogła nic zrobić.

– Pete, wycofam się teraz, ale wrócę niedługo ze światłem i liną i wyciągnę was stamtąd. Ty trzymaj Briannę za rękę i obejmuj Harry'ego, żebyście byli wszyscy troje blisko siebie. Zaraz wracam.

Czołgając się z powrotem, usłyszała w pewnej chwili grzmot i w chwilę potem lunął deszcz, którego szum rozszedł się echem w ciemnym teraz tunelu.

– Nash! – krzyknęła przestraszona.

– Jestem tu, kochanie! – odkrzyknął. – Przykry-

łem kratę płaszczem, żeby deszcz nie leciał do korytarza. Leje jak z cebra, ale widzę już reflektory ciężarówki. Zaraz tu będą. Znalazłaś dzieci?

Powiedział „kochanie”. Pewnie chciał ją tylko uspokoić, podnieść na duchu.

Ale zabrzmiało to całkiem szczerze.

– Brianna się zraniła! – wyszeptała.

– Co jej jest?

– Nie wiem! – wyszłochała. – Są po drugiej stronie przepustu, bez latarki się do nich nie przedostanę...

W tym momencie tunel zalało światło, a ona usłyszała dudnienie przenośnego generatora zasilającego oślepiająco jasne lampy halogenowe z wyposażenia Służby Kryzysowej. Zgrzytnęła otwierana kratka, z góry opadła sznurowa drabinka.

Pierwszy zszedł po niej Josh.

– Co z Pete’em? – zapytał.

– Nic mu nie jest. Czuwa przy Briannie i Harrym. To dzielny chłopiec.

– Ja go zatłukę – oświadczył Josh i z uśmiechem wręczył jej kask ochronny z lampką oraz plecak z zestawem pierwszej pomocy.

– Dzięki – powiedziała. – Masz może drugą sznurową drabinę? Dzieci są za przepustem, a tam jest spadek.

Miał i drabinę, i składane nosze.

– Idziemy, Ella – zakomenderował. – Nie ma czasu do stracenia. Grota po tamtej stronie przepustu podczas zwyczajnego deszczu szybko napełnia się wodą, a co dopiero przy takiej ulewie.

Strach ścisnął Ellę za gardło. Ruszyła przodem w kierunku przepustu i wpełzła do niego, przemawiając cały czas do dzieci, chociaż pewnie jej nie słyszały, bo wszystko zagłuszał szum rwącej tunelami wody.

– Jesteś tam, Pete?! – zawołała, wynurzając się po drugiej stronie przepustu.

– Jestem, ale tu się robi mokro. – Głos Pete’a podszyty był strachem.

– Już was stamtąd wyciągamy. Twój tatuś przy-mocowuje teraz drabinkę, zejdziemy po niej i wynie-siemy was na górę.

Zeszła pierwsza. Brianna leżała bez ruchu, Pete siedział przy niej i trzymał ją za rękę.

– Dziękuję, Pete – wyszeptała Ella, klękając przy dziewczynce.

Obok, skamłąc, leżał Harry. Jemu też podziękowa-ła. Jeden rzut oka na nogę Brianny wszystko jej powiedział. Na szczęście złamanie nie było otwarte.

Obmaciała dziewczynce głowę, ale nie wyczuła pod palcami żadnego guza. Uniosła małej powiekę i poświeciła latarką. Źrenica skurczyła się i chociaż nie było to jeszcze gwarancją, że mózg nie uległ uszkodzeniu, Ella trochę się uspokoiła.

Josh też już zszedł i właśnie rozmawiał z Pete’em.

Ella usztywniła Briannie kark kołnierzem z ze-stawu pierwszej pomocy, ujęła nogę w łubki i zaczęła przemawiać do małej, wołając jej imię.

– Ella? – wyszeptała w końcu dziewczynka.

Bogu niech będą dzięki. Ella pochyliła się i pocało-wała Briannę w policzek.

– Wynieś Pete’a pierwszy – zwróciła się do Josha.
– Ja tymczasem przytroczę Briannę do noszy. Wciągniecie ją potem na linie, a ja będę asekurowała z tyłu.

– Ty powinnaś iść pierwsza – powiedział Josh, ale wziął synka na ręce i zaczął się z nim wspinać po drabince.

Harry znowu zaskamlał, toteż Ella skierowała na niego promień latarki. Pies nie miał tyle szczęścia co Brianna. Zadnia łapa krwawiła obficie, złamanie było otwarte.

– Biedaczku – powiedziała Ella.

Przed dotknięciem złamanej łapy trzeba było ją znieczulić. Ella odpiłowała czubek ampułki z morfiną, nabrała jej do strzykawkki i zrobiła psu zastrzyk. Zasnął prawie natychmiast, a Josh wołał już, że jest na górze i na nich czeka.

– Jedną chwileczkę. Zawołam, kiedy będę gotowa.

Rozłożyła zostawione przez Josha nosze i dopiero teraz uświadomiła sobie, że dziewczynka i pies razem się na nich nie zmieszczą. Jednak woda szybko się podnosiła, a nie zostawi tu przecież psa, żeby się utopił. Nie porzuci Harry’ego, który swoim szczekaniem ocalił dzieci.

Wsunęła nosze pod Briannę, przytroczyła ją do nich i ciągnąc za sobą, wspięła się po drabince. Zatrzymała się na półce przed wylotem przepustu, uwiązała do noszy linę prowadzącą do ratowników i zawołała do Josha:

– Możecie już ciągnąć, ale ostrożnie. Niech Nash ją zbada na powierzchni. Powiedźcie mu, żeby w razie czego wiozł ją prosto do szpitala.

– Jestem tutaj, Ella! – zawołał Nash. – Wychodź. Ty pojedziesz z nią do szpitala.

– Nie, ty się nią zajmij, Nash. Ja muszę wrócić po Harry’ego.

Usłyszała, jak mruknął pod nosem coś niecenzurального.

– Mamy już Briannę! – krzyknął po chwili. – Jest przytomna. Zabieram ją na górę. Kocham cię, Ella.

On ją naprawdę kocha?

– Ma dziwny sposób okazywania tej miłości – powiedziała do nieprzytomnego Harry’ego, zszedłszy z powrotem na dół.

Zdjęła spodnie, oplotła psa nogawkami, przewięzała się ich końcami w talii i zaczęła piąć po sznurowej drabince.

Nie pamiętała, jak przeczołgała się z psem przez przepust ani jak dotarła tunelem do wyjścia z jaskini i wydostała się na zewnątrz.

– Cała jesteś? – spytał Nash, opatulając ją nieprzemakalnym płaszczem i sadzając na składanym krzeselku pod pałatką rozpiętą nad wylotem.

– Cała – wykrztusiła, dygocąc z zimna. Owinęła się ciasniej płaszczem. – Gdzie Brianna? Prosiłam cię, żebyś się nią zajął.

– Sara z nią pojechała. W karetce było tylko jedno miejsce dla osoby towarzyszącej.

Ella wstała bez słowa z krzeselka i ruszyła chwiejnym krokiem przed siebie.

– A ty dokąd? – Nash chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

– Do domu! – mruknęła.

– Nie wygłupiaj się – powiedział, całując ją.
– Podjechałem karetką pod dom i przyprowadziłem tutaj twój samochód. Wrócimy nim do domu, weźmiesz prysznic, przebierzesz się, a potem moim samochodem pojedziemy do miasta.

Chciała mu podziękować, ale wepchnął ją do auta i zakrył usta dłonią.

– Tylko mi nie mów, że miasteczko nie może zostać bez lekarza. Nie chcę słyszeć słowa protestu.

Zajął miejsce za kierownicą. Kiedy zatrzymywali się przed werandą, burza już ustawała i zapadał zmierzch. Pomógł jej wysiąść z samochodu i wprowadził do domu.

Wzięła prysznic i owinięta kąpielowym ręcznikiem usiadła na łóżku. Głowa jej ciążyła, powieki same opadały, ale przecież Brianna jej potrzebuje.

Musi jeszcze trochę wytrzymać. Potem się wyśpi. Teraz zdrzemnie się tylko parę minut. Położyła się...

Ocknęła się w samochodzie Nasha. Dojeżdżali do Sydney.

– Nash?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Już nie śpisz?

– Naprawdę mnie kochasz, czy tylko tak mówisz? – spytała.

Westchnął i przecesał palcami włosy.

– Chyba nie mam innego wyjścia – odparł. – Jeszcze nigdy nie miałem takiego pietra jak dzisiaj, kiedy siedziałaś w tej jaskini, a więc wychodzi na to, że coś tam do ciebie czuję.

– Mówisz tak, jakby miłość do mnie była czymś najgorszym, co ci się w życiu przytrafiło. – Ella uśmiechnęła się i pogładziła go po włosach.

– Nie takim znowu najgorszym – mruknął. – Najgorzej byłoby cię stracić.

Elli ciepło się zrobiło na sercu, ale wciąż miała wrażenie, że coś tu jest nie tak. Nagle przypomniała sobie jego absurdalne oświadczenia tego poranka i obudziło się w niej pewne podejrzenie.

– Chyba nie mówisz tego wszystkiego tylko po to, żeby się ze mną ożenić i w ten sposób dostać w swoje ręce Briannę, co?

Nash westchnął.

– No i sama widzisz, jak trudno cię kochać. Brianna jest twoja, Ello. To nie podlega dyskusji. Owszem, chciałbym ją z tobą wychowywać. Byłbym zachwycony, gdyby okazało się, że naprawdę jest córką Russella i mogę powiedzieć mamie, że Russell zostawił jej wnuczkę, ale wszystko zależy od ciebie. Nie będę cię do niczego zmuszał.

Zatrzymał się na czerwonym świetle i dotknął dłonią jej policzka.

– A więc wyjdiesz za mnie? Powiedz tak, a pobierzemy się choćby jutro.

– Tak, ale nie jutro. Najpierw muszę coś załatwić.

– Co?

– Muszę załatwić pewną sprawę.

– Jeśli chodzi o Ricka Martina, to uduszę go gołymi rękami i sprawa będzie załatwiona – warknął Nash.

Podjeżdżali już pod szpital. Nash zaparkował samochód i pomógł Elli wysiąść.

– Nie chodzi o Ricka Martina – oświadczyła. – Więcej nie mogę ci powiedzieć.

Nash wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Chodźmy poszukać Brianny! – rzekł zrezygnowany i pociągnął ją za sobą do wejścia.

Brianna była już po zabiegu – powitała ich z nóżką w pomarańczowym gipsie. Lekarz oświadczył, że właściwie można ją już zabrać do domu.

– Sara wybrała ten kolor – wyjaśniła. – Bo mnie dali takie lekarstwo, po którym zrobiłam się bardzo śpiąca i nie mogłam mówić. Ale ona wie, że to mój ulubiony.

Nash nachylił się i pocałował ją w czoło.

– No to wracamy całą rodziną do domu – oznajmił.

Sara uśmiechnęła się do niego.

– No właśnie – powiedziała cicho. – Zupełnie jakbyśmy byli teraz rodziną.

Ella usłyszała te słowa i uznała, że nadeszła pora, by porozmawiać z Sarą.

– Muszę się napić kawy – zwróciła się do niej. – Niech Nash załatwi formalności, a my chodźmy kupić coś do picia na drogę.

Po chwili zatrzymały się przy automacie z kawą.

– Niełatwo mi to mówić – zaczęła, patrząc na Sarę – i mam nadzieję, że się nie zdenerwujesz, ale Nash dostrzegł podobieństwo między tobą a Brianną. Kiedy zwrócił mi na to uwagę, też zaczęłam się nad tym zastanawiać.

Wzięła Sarę za rękę i spojrzała jej w oczy.

– Meg nigdy mi nie powiedziała, kto jest ojcem Brianny, ale jej marzeniem było wrócić do Edenvale i tam ją wychowywać. Było coś, co chciała, co obie chciałyśmy najpierw załatwić, i myślę, że potem by ci powiedziała.

Ella studiowała twarz Sary, niepewna, czy ta coś z tego rozumie.

Sara uśmiechnęła się, nachyliła i pocałowała ją w policzek. Zrozumiała.

– Często sama się nad tym zastanawiałam – przyznała. – Widzę w niej obu moich chłopców, zwłaszcza Russella. Nie mówiłam ci, bo ja też nie chciałam cię denerwować.

Objęły się.

– No co z tą kawą?

Za nimi stał Nash z Brianną na ręku. Ella odwróciła się do automatu, a Sara objęła syna i dziewczynkę, która zapewne była jej wnuczką.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Minął tydzień. Brianna nie mogła chodzić do przedszkola, więc Ella wzięła urlop, by się nią opiekować, każdą zaś wolną chwilę poświęcała rachunkom, sumując, dzieląc, mnożąc i wyliczając procenty, czyli zajmując się czymś, o czym do tej pory nie miała bladego pojęcia. W związku z tym Nasha prawie nie widywała – aż do dzisiaj, kiedy wszystko było już gotowe i wszyscy, pod kierunkiem Brianny, ubierali choinkę.

Kuchennymi drzwiami weszła Sara, wykrzykując od progu słowa powitania.

– Tutaj jesteśmy! – zawołała Ella. – W dużym pokoju. Dopieszczamy drzewko.

Sara uściskała Ellę i pomachała do Nasha, który stał właśnie na drabinie i mocował na czubku choinki gwiazdę.

– Dwa bożonarodzeniowe cudy! – oznajmiła radosnym tonem Sara. – Jak wicie, w przedświątecznym okresie poczta dostarcza przesyłki nawet w soboty. Słyszałam motorower listonosza, ale przypomniałam sobie nareszcie, gdzie schowałam pudełko z rzeczami Russella i akurat w nim grzebałam, więc nie otworzyłam listonoszowi od razu, a wicie, co dostałam?

Pomachała w powietrzu kopertą.

– To!

– A co to jest? – spytał grzecznie Nash, chociaż zaczynał już tracić cierpliwość.

– Czek i list z informacją, że ten czek jest dla mnie, i że to żadna pomyłka, i żebym go przyjęła. A jeśli nie będę chciała wykorzystać całego, to zawsze mogę dołożyć się do nowej karetki. Ale żadnej wzmianki, od kogo ten czek i za co.

– Jaki to czek? – spytał podejrzliwie Nash.

– Bankowy – odparła matka – a więc nie da się ustalić, kto go wystawił, jest tylko nazwa banku, a bank, który go przysłał, nie zdradzi tego, bo na tym polega istota czeków bankowych.

Nash westchnął.

– Ja pytam, na jaką sumę opiewa. Dużą czy taką sobie?

Matka uśmiechnęła się promiennie.

– Na dużą! Bardzo dużą! – Podała mu go, a on omal nie zleciał z drabiny na widok pięciocyfrowej liczby.

– A to jeszcze nie wszystko.

Nash wciąż obracał w rękę czek, zastanawiając się, gdzie tu haczyk, kiedy matka zaprezentowała małą buteleczkę, którą trzymała w drugiej ręce.

– Znalazłam wyrostek robaczkowy Russella! Pamiętaj, jak nalegał, żeby zachować to paskudztwo, kiedy mu je wycięli?

Nash patrzył na nią zdębiały. Nic z tego nie rozumiał. Za to Ella chyba zaczęła coś pojmować. Padły sobie z Sarą w objęcia i ruszyły w tany po pokoju.

Kiedy się zatrzymały, spojrzała na Nasha uważnie.

– To znaczy, że nie będziecie musieli poddawać się z Sarą testom. Naukowcy pobiorą materiał DNA z tego wyrostka.

Nash zszedł z drabiny i pokazał jej czek.

– Spora sumka – stwierdziła i odwróciła się, by odebrać Briannie nożyczki.

Do pokoju weszła pani Carter z identyczną kopertą i arkusikiem papieru wielkości czeku.

– Dostałam właśnie pocztą ten czek – oznajmiła łamiącym się głosem. – Nie wiem od kogo, ale w liście jest napisane, że to dla mnie, że wszystko jest legalne i w ogóle.

Sara przebiegła wzrokiem list i pokazała pani Carter swój. Ella nie reagowała.

Czyżby jej to nie dziwiło?

Nash wyszedł na werandę i wyciągnął z kieszeni komórkę. Wybrał numer Boba.

– Dostałeś dzisiaj pocztą jakąś niespodziewaną kasę? – zapytał przyjaciela.

– Nie miałem tego szczęścia – odparł Bob. – Ale dzwonił tato z wiadomością, że przyszedł do niego list z czekiem, i że podobne otrzymała połowa jego domu spokojnej starości. Na różne sumy i bez żadnego wyjaśnienia, ale z sugestią, że gdyby nie wiedzieli, co zrobić z tymi pieniędzmi, to miasteczku potrzebna jest nowa karetka pogotowia.

– Sprawa do załatwienia – mruknął Nash, a kiedy Bob zapytał, co przez to rozumie, przeprosił i rozłączył się.

Ella mówiła, że ma jakąś „sprawę do załatwienia”

i nie wyjdzie za mąż, dopóki jej nie załatwi. Meg też zwlekała z powrotem do Edenvale do czasu wyrównania jakiegoś rachunku.

Do tego Ella zabiega o drugą karetkę dla miasieczka.

Całe to kserowanie, gorączkowe chowanie papierów – wszystko nabrało teraz sensu. Ale skąd, u licha, wytrasnęła tyle pieniędzy i jak, przy swoim braku zdolności do matematyki, wyliczyła odsetki? Czek, który dostała matka, opiewał na sumę o wiele wyższą od tej, którą straciła ich rodzina w wyniku bankructwa kasy oszczędnościowej.

Zadzwoił do kilku jeszcze osób, żeby się upewnić, potem skierował się do sypialni Elli. Trzymała całą dokumentację pod łóżkiem, w starej walizce. Podejrzał kiedyś, jak ją tam chowała.

Wyciągnął walizkę, otworzył ją i wysypał całą zawartość na łóżko.

– Co robisz w moim pokoju?!

– Powiniennem tu mieszkać, albo ty w moim – warknął, odwracając się do niej i zakładając ręce na piersi. – Sprawa do załatwienia! Tym się właśnie zajmujesz? Zwracasz z odsetkami pieniądze, które stracił twój ojciec. Tylko nie pojmuję, jak wyliczyłaś, ile się komu należy.

– Nie wyliczyłam – przyznała cichym głosem, spuszcżając oczy. – Próbowałam. Naprawdę się starałam, ale w końcu dałam za wygraną, sprawdziłam, jakie było najwyższe oprocentowanie lokat w bankach w ciągu ostatnich dwunastu lat, pomnożyłam to przez dwanaście i dodałam.

Podniosła na niego spłoszony wzrok.

– Myślisz, że bardzo ich oszukałam?

Nash pokręcił głową, podszedł i wziął ją w ramiona.

– Och, Ella – wyszeptał. – Nie musiałaś tego robić. To był dług ojca, a nie twój.

– Mój i Meg – oświadczyła stanowczo. – I spłaciłam go z naszych oszczędności, a na odsetki wzięłam z ubezpieczenia Meg.

Przytulił ją do siebie. Stali tak chwilę bez słowa, potem Ella odsunęła się i spojrzała mu w oczy.

– Ale nikomu nie powiesz, prawda? Chciałyśmy to zrobić tak, żeby nikt się niczego nie domyślał. Ludzie się chyba nie obrażą, że tak natarczywie wspominam w listach o nowej karetce?

Pocałował ją i nagle coś mu się przypomniało. Ujął ją pod brodę i zmusił, żeby na niego spojrzała.

– No dobrze – zauważył. – A teraz jedno pytanie. Mówiąc wtedy, że nie możesz za mnie wyjść szybko, miałaś zapewne na myśli ten rachunek do wyrównania. Ale skoro go już wyrównałaś, to czy coś stoi jeszcze na przeszkodzie?

Ella uśmiechnęła się.

– Potrzebuję trochę czasu, żeby zbierać na suknię ślubną – wyszeptała i oczy zaszyły jej łzami. – Wiem, że uznasz to za głupie i żałosne, ale od tak dawna chodzę w ciuchach z lumpeksu, że chciałabym wreszcie włożyć coś nowego.

Przytulił ją mocno.

– Nic z tego. Ani myślę zwlekać dłużej ze ślubem. W najbliższy weekend jedziemy do Sydney,

wybierasz sobie suknię ślubną swoich marzeń, a płacę za nią ja. Ello, proszę cię, nie protestuj!

Ella nie protestowała. Wtuliła się tylko w jego ramiona, pewna teraz, że w końcu na dobre wróciła do rodzinnego Edenvale.